



POCZUJ! **SPYRYT TEAM**



CODZIENNIE PO
19:00
DLA EKIPY
(4 OSOBY LUB WIĘCEJ)

25%
ZNIZKI
NA CAŁE MENU

Pyra bar



Intro

Redaktor naczelny: Dawid Balcerek

W zeszłym roku dzielnica Rataje świętowała piękny jubileusz związany z przyłączeniem do Poznania. Wieś Rataje została wcielona do miasta dokładnie 100 lat temu. Z kolei tego lata minęło 60 lat od położenia pierwszych fundamentów pod nowoczesne osiedla ratajskie. Było to wielkie wydarzenie, które odbiło się echem nie tylko w Poznaniu, ale i w całym kraju! Rataje były wizytówką państwa, które chętnie prezentowało je również za granicą.

Świadczy o tym między innymi fakt, że w 1979 roku, na zaproszenie władz PRL, odwiedził je jeden z najbogatszych ludzi świata, szachinśz Iranu Mohammad Reza Pahlawi wraz z cesarżową Farah Pahlawi. Wizyta miała charakter propagandowy i stanowiła element prezentacji sukcesów ekipy Edwarda Gierka. Ponoć towarzyszyły jej sceny rodem z serialu „Alternatywy 4”, ale nie przeszkodziło to irańskiemu monarsze zapoznać się z nowoczesnym, jak na tamte czasy, budownictwem wielkopłytowym w Polsce.

Dzisiaj może się to wydawać abstrakcyjne, ale wówczas były to bardzo nowoczesne i modernistyczne osiedla. Mieszkańcy nie musieli opuszczać dzielnicy, by załatwić wszystkie codzienne sprawy – od zakupów, przez edukację, po życie kulturalne.

O tym oraz o wielu innych aspektach życia na Ratajach dowiedzie się z wystawy „Wszystko było w zasięgu. Historia ratajskich osiedli”, którą można obecnie oglądać w Galerii Śluza na Ostrowie Tumskim. W jesiennym wydaniu znajdziecie również wywiad z kuratorką i liderką zespołu ds. wystaw, Anną Pikutą, która opowiedziała nam o całym przedsięwzięciu. Polecam tę rozmowę i oczywiście samo wydarzenie.

Jestem mieszkańcem Rataj od urodzenia i dla mnie to wielka rzecz, że nasza dzielnica dorobiła się takiej wystawy, a ja mam przyjemność ją promować.

A jeśli Wam mało bloków, to zapraszam na ostatnie strony, gdzie znajdziecie wywiad z Piotrem Woźniakiem, twórcą gry BLOK, której akcja dzieje się m.in. na... Ratajach!

Ten numer to taki mój mały hołd dla Rataj i jej mieszkańców. Zwróciliście uwagę na naszą okładkę? Ratajanie będą wiedzieć o co chodzi! (śmiech)

Redakcja Freshmaga nie ponosi odpowiedzialności za zmiany terminów imprez oraz za treść reklam.



REDAKTOR NACZELNY:

Dawid Balcerek
dawid@freshmag.pl

WYDAWCA:

Michał Krupski
michal@freshmag.pl

REDAKCJA:

Craft sp. z o.o.
ul. Książęca 1
61-361 Poznań

REKLAMA:

Michał Krupski
600 286 242
michal@freshmag.pl

WSPÓŁPRACA:

Julia Lipowicz
Zofia Myślicka
Rafał Szaroleta
Sylvia Klaczyńska
Tomasz Dworek

Izabela Kowalska
Paweł Kwiatkowski
Marta Kabsch-Niedbalska
Karolina Sierszulska
Dominika Majewska
Natalia Bednarz

NAKŁAD:

4000 sztuk

OKŁADKA:

Dawid Balcerek

„Poza Twarzą” 4
Wystawa w Starym Browarze

Opowieść o Ratajach 18
Wystawa w Galerii Śluza

Rozmowa o Conradzie Drzewieckim 28
Wywiad z Robertem Bondarą
z Teatru Wielkiego

„Wszelki constans mnie nudzi” 36
Guest Julka opowiada
o swoim debiutanckim albumie

10 Fresh Art
Kobayashi

24 Bardzo poznańska jesień
Estrada zaprasza

32 Klasztor i drum’n’bass
Rozmowa z Fraterem i Mrokasem

42 Gwara poznańska i muzyka tej!
Wywiad z Marianne

Fundacja YoYo Lemon **46**
Adi Kaniewski podróżuje i pomaga

Sztuka kelnerska, która jest pasją **56**
Rozmawiamy z Janem Dopieratą
pracującym w zawodzie od 55 lat

Poznański Pawilon **64**
Autonomiczna przestrzeń
dla sztuk performatywnych i muzyki

Jesień w Blue Note **70**
Rozmawiamy z Michałem Francuzikiem
– klubowym marketingowcem

51 **Najjaśniejsze z ciemnych
i najciemniejsze z jasnych**
Lewa i Krysia w projekcie Le'sia

60 **Mosty, które zmieniają miasto**
Przeprawy przez Wartę te istniejące i przyszłe

67 **Poznań w grze komputerowej BLOK**
Rozmowa z Piotrem Woźniakiem – twórcą gry



Spójrz w oczy Malczewskiemu

Wystawa „Poza twarzą” w Pop Culture Gallery w Starym Browarze

Tekst: Marta Kabsch-Niedbalska

Zdjęcia: Marek Zakrzewski



Jeszcze na początku roku w Pop Culture Gallery w Starym Browarze mieszkał Andy Warhol. Było kolorowo, nowocześnie, bardzo pop. Kilka tygodni temu przestrzeń galerii zmieniła się nie do poznania. Miejsce Marilyn Monroe, zupy Campbell's i srebrnej pracowni The Factory zajęły płótna mistrzów i mistrzyń polskiego malarstwa – niektóre z ponad stuletnią metryką. Ściany przybrały dostojne, głębokie odcienie. W tle słychać wiolonczelę. Przy wejściu plakaty z tytułem wystawy: „Poza twarzą”. Matejko, Wyspiański i Malczewski w galerii popkultury – o co tutaj chodzi?

Muzealna klasyka w Pop Culture Gallery w Starym Browarze to zwrot przez rufę. W przestrzeni, w której wcześniej oglądaliśmy ekstrawaganckie fotografie Davida LaChapelle'a, awangardowe kreacje Iris van Herpen, archiwalne kolekcje Gianniego Versace, najradsze sneakersy kultowych marek, a niedawno – grafiki, filmy i projekty Andy'ego Warhola, teraz pokazywane jest tradycyjne malarstwo sztalugowe. Obrazy autorstwa wielkich artystek i artystów – „śmietanki” polskiej historii sztuki – pochodzą ze zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. To instytucja założona w 1854 roku, której misja od początku była – no właśnie – popkulturowa.

Celem działalności TPSP było zbliżanie twórców do publiczności. Organizacja wystaw, budowanie własnej kolekcji, sprzedaż dzieł – Towarzystwo aktywnie pobudzało obieg sztuki i promowało artystów. Ciekawą inicjatywą było wydawanie premii – reprodukcji, które członkowie TPSP mogli zabierać do domu. Wszystko po to, żeby kultura stawała się częścią co-



dzienności. Podobne idee stoją za Pop Culture Gallery – ambitne wystawy organizowane przy centrum handlowym przez zespół marketingu Starego Browaru, z Joanną Tupalską na czele, przyciągają świadomych odbiorców, „bywalców” wydarzeń artystycznych, ale drzwi galerii otwarte są także dla tych, którzy „przy okazji” chcą ciekawie spędzić czas. Na przykład – patrząc w oczy Jackowi Malczewskiemu.

Oni patrzą

Wojtek Piotr Onak, kurator wystawy „Poza twarzą”, podszedł do zbiorów krakowskiego TPSP z popkulturową swobodą. Nie skupiał się na chronologii i podziałach na epoki artystyczne. Sięgnął po portrety, autoportrety, ale także pejzaże czy martwe natury. Z tych prac stworzył nieliniową opowieść o sposobach widzenia człowieka w sztuce. Tytuł projektu to zaproszenie, żeby na dzieła portretowe spojrzeć z nowej perspektywy. „Poza

twarzą” opowiada o próbie zobaczenia drugiego człowieka, zanim go nazwiemy, ocenimy albo wpisujemy w kategorię. O tym, jak patrzymy na innych i jak sami chcemy być widziani. O napięciu pomiędzy twarzą a tym wszystkim, czego twarz nie potrafi powiedzieć” – pisze Onak w tekście otwierającym wystawę.

Kurator uruchomił kolekcję TPSP na nowo – „jako zbiór dzieł, które nadal potrafią zadawać aktualne pytania o to, jak człowiek jest widziany, jak zostaje zapamiętany i jak sztuka próbuje uchwycić jego miejsce w świecie”.

Ekspozycja zaczyna się od walki mistrza z uczniem. Spotkamy Jana Matejkę i Stanisława Wyspiańskiego, którzy na człowieka patrzyli odmiennie. Mistrz Jan stawiał go w ogniu wielkiej historii. Uczeń Stanisław przyglądał się emocjom, życiu codziennemu, ubierał ludzi w symbole. Rejestr, jaki dla polskiego malarstwa otworzył Wyspiański, w pełni wybrzmiewa na kolejnym piętrze. Motywami przewodnimi są tutaj wieś i natura. Frontalnych przedstawień postaci jest mniej, a obecność czło-



wieka wyrażona jest w śladach, owocach pracy, przestrzeni codziennej. Kulminacją wystawy „Poza twarzą” są twarze. W sali portretu i autoportretu, gdzie wita nas sam Jacek Malczewski, spotykamy pokazną galerię osobowości. Podobizny wydają się zaskakująco realne, nawet jeśli styl malarstwa jest syntetyczny, impresyjny czy szkicowy. Dobrym przykładem jest zestaw autoportretów Czesława Kielbińskiego, Zbigniewa Pronaszki i Janiny Kraupe-Świdorskiej. Przechodząc obok nich, ma się wrażenie, że postacie na ścianach wiodą za nami wzrokiem.

Głosy z innych epok

Historyczną narrację kurator zmiękcza „głosami z innych epok”. Wśród dzieł z kolekcji TPSP pojawiają się kontrapunkty – prace współczesne. W tym dialogu ze sztuki historycznej wyłania się to, co uniwersalne i aktualne. Szkice Magdaleny Abakanowicz obok Matejki i Wyspiańskiego pokazują, że bunt wobec mistrzów i walka o własny głos nie dotyczą tylko jednej epoki. Instalacja Daniela Rycharskiego „Ogród zimowy 3”



uświadamia, że świat przedstawiony w pracach Leona Chwistka, Tymona Niesiołowskiego czy Kazimierza Puchały powoli odchodzi w przeszłość. Fotografia Ady Zielińskiej w sąsiedztwie Malczewskiego pyta o napięcie między przestrzenią historii przez wielkie „H” a prywatnym doświadczeniem. W finale wystawy twarz znika, a kurator zaprasza publiczność na zaskakujące spotkanie z abstrakcyjnymi dziełami Wojciecha Fangora.

„Poza twarzą” przyciąga wielkimi nazwiskami, ale w Pop Culture Gallery w oczy warto spojrzeć nie tylko art-celebrytom. Trudno konkurować z mocą wielkiego obrazu „Elenai” Malczewskiego. Ja jednak w sali na pierwszym piętrze na dłużej zatrzymuję się też przed pracą „Przędka” Fryderyka Pautscha. Zachwycam się pełną skupienia atmosferą sceny i światłem zbudowanym z dużych jasnych plam. Na drugim poziomie hipnotyzuje ogromny „Portret dr. Antoniego Krokiewicza” autorstwa Józefa Mehoffera, ale równie intensywnie działa na mnie „Portret (Autoportret) za drutem” Marii Markowskiej. Obraz ma silną, niepokojącą aurę. Zgaszone są tu zarówno kolory, jak i spojrzenie malarki. Dostrzegam w nim pustkę, a nawet – co sugeruje drut kolczasty – cierpienie. Zupełnie inne nastroje towarzyszą oglądaniu „Autoportretu z Pepusiem i ptaszkami” Stanisława Wójtowicza. Z płótna bije radość i humor. Artysta pokazał siebie w ekscentrycznym stroju, z ukochanym kotem, motylami, kwiatami. Świetnym podsumowaniem będą te słowa kuratora: „Autoportret nigdy nie jest wyłącznie zapisem wyglądu. Jest również decyzją o tym, którą wersję siebie pokazać. Można przedstawić się w pracowni, w masce, wśród przedmiotów, które coś o nas mówią, albo przeciwnie – usunąć wszystko poza twarzą”.

Ekspozycja w Pop Culture Gallery to nie tylko uczta dla oczu. Spacerom wśród twarzy i spojrzeń towarzyszy muzyka. Autorem oprawy dźwiękowej jest Jakub Dubik, wiolonczelista i kompozytor. Utwór Dubika to coś więcej niż tło – jest warstwą opowieści, pogłębiającą doświadczenie i emocje płynące z obrazów. Bo „Poza twarzą” to wystawa, która daje możliwość przeżywania malarstwa. „Patrzcie w oczy” – mówi Wojtek Piotr Onak. Tam kryje się dusza i prawda – także o nas.



„Poza twarzą” – prace z kolekcji Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie

Pop Culture Gallery, Stary Browar, Poznań

Wystawa czynna do 10 lutego 2027 r., od wtorku do niedzieli w godz. 12:00-20:00

- bilety: 20 zł, do nabycia przy wejściu na wystawę oraz na platformie ToBilet.pl
- promocja 1+1 gratis dla uczniów, studentów i seniorów: od wtorku do czwartku
- 1. wtorki miesiąca – wstęp wolny
- promocja Kultura Zakupów: wstęp gratis z paragonami ze sklepów i punktów w Starym Browarze o wartości min. 90 zł z danego dnia

Kurator: Wojtek Piotr Onak

Partnerzy: Stary Browar, Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, OCR Art Foundation, ToBilet.pl

Produkcja: Joanna Tupalska z zespołem Starego Browaru, OCR Art Foundation, OCR Creations

Muzyka: Jakub Dubik

Wystawa objęta Honorowym Patronatem Prezydenta Miasta Poznania





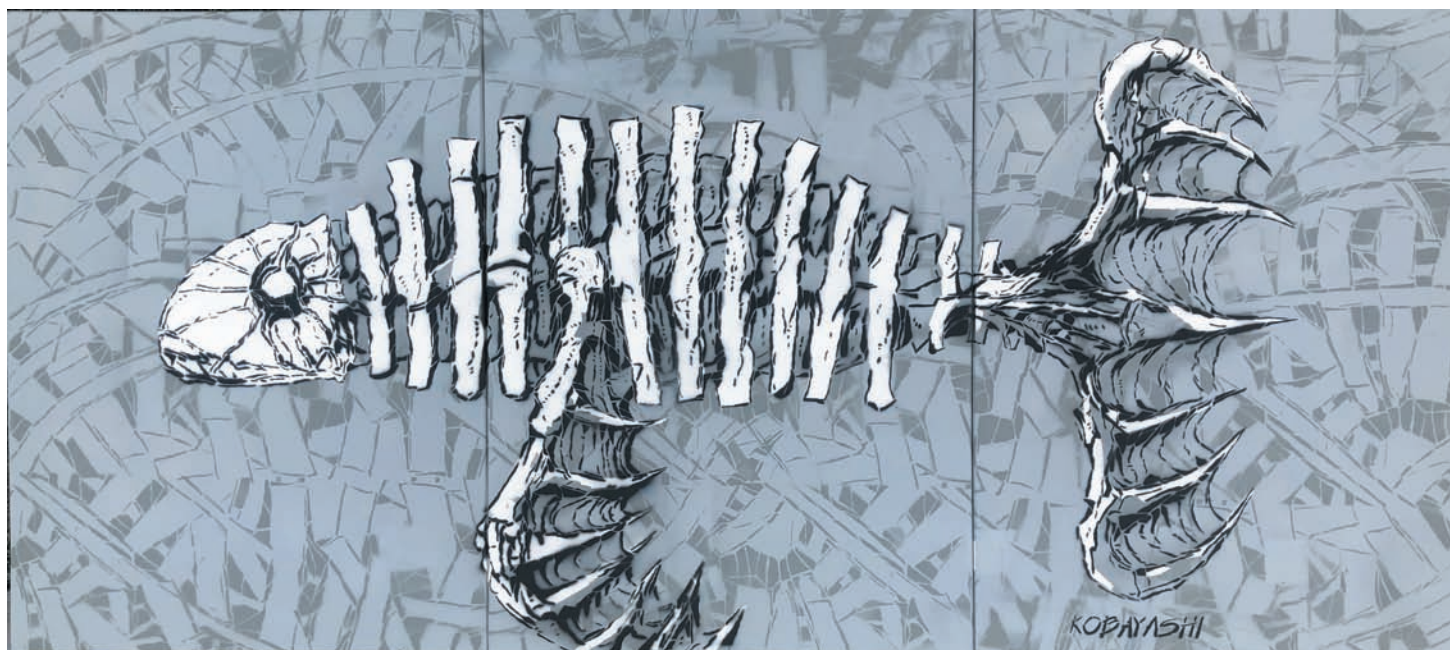
„Nie interesuje mnie ładna sztuka”

FRESH ART: KOBAYASHI

Rozmawiał: **Paweł Kwiatkowski**

Zdjęcia: **Kobayashi**

Kobayashi tworzy charakterystyczny, mroczny świat pełen czaszek, szkieletów, potworów, zwierząt i zdeformowanych postaci. Jego prace można spotkać zarówno w przestrzeni miejskiej, jak i na płótnach. Na scenie streetartowej działa od 2009 roku: zaczynał od udziału w festiwalach graffiti, gdzie prezentował doprowadzoną do wirtuozerii technikę szablonu. Przez kolejne lata brał udział w licznych wydarzeniach w Polsce i za granicą, w tym regularnie bierze udział w największej do-
rocznej wystawie street artu w Polsce Urban Art Area. Mieszkańcy Wielkopolski mogą zobaczyć jego prace m.in. w stałej galerii Under the Street Gallery w Lesznie; w 2026 roku jego obraz został również wystawiony na aukcji domu aukcyjnego Rempex. Dla naszego magazynu spotkał się z nim i porozmawiał Paweł Kwiatkowski, autor książki „Urban Vibe. Street Art Polska Vol. 2”.



Przeprowadzając wywiady z artystami streetartowymi przyzwyczailem się do spotykania się z nimi w zagraconych, uwalanych farbą pracowniach, na pustostanach wśród gruzu, w squatach. Tymczasem teraz przyjeżdżam na umówione miejsce wywiadu i widzę elegancki dom w podpoznańskiej miejscowości, przed domem elegancką furę, a wewnątrz gustownie urządzone, nowoczesne wnętrza. Sam artysta wcale nie pasuje do wizerunku, który można sobie wyrobić patrząc na jego prace: wcale nie jest szamanem ani mrocznym, gotyckim introwertykiem. Postawny, uśmiechnięty, subtelny w obyciu. I jeszcze jedno, totalne zaskoczenie: na co dzień pracuje jako inżynier budownictwa w dużym, międzynarodowym przedsiębiorstwie i działa praktycznie na całym świecie. Jego rolą jest nadzorowanie odbiorów i rozpatrywanie ewentualnych zastrzeżeń inwestorów, dla których firma realizuje wielkie obiekty, jak stadiony czy szpitale. O swojej sztuce mówi, że jest przede wszystkim reakcją na to, co dzieje się w jego głowie. Rozmawiamy o turpizmie, szablonach, streetartowej społeczności, dwóch pozornie odległych światach i o tym, dlaczego jego obrazy zaczynają się ostatnio poruszać.



Twój świat pełen jest czaszek, szkieletów, potworów i zdeformowanych zwierząt. Skąd się biorą te wszystkie motywy?

Niestety nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. To jest nieopisane. To coś, co ze mnie po prostu wypływa. Ciężko mi, jako autorowi, w jakikolwiek sposób to skatalogować, opisać, zamknąć w ramę określonych figur. Po prostu siadam i rysuję. Nie wymyślam tego godzinami. Oczywiście, jeśli chcę narysować goryla czy warana z Komodo, muszę wcześniej zobaczyć, jak one wyglądają, ale większość rzeczy pojawia się spontanicznie.

Czyli nie masz okresów, w których nagle fascynują cię na przykład gady albo owady?

Nie. Nie mam takich faz. Jest po prostu świat Kobayashiego. Raz pojawia się fishbone, innym razem ćma, koty, żółwie, ośmiornice, ważki czy jakieś morskie stwory. A obok tego są rzeczy bardziej nieuchwytnie: diabły, trąby piekielne, korony cierniowe, maski gazowe, szkielety.



Tvoja sztuka jest mroczna, ale ty sam nie sprawiasz wrażenia szczególnie mrocznego człowieka.

Mam nadzieję! Jestem raczej zadowolony z życia i pogodnie nastawiony do świata i ludzi. Ale gdzieś tam we mnie siedzi poezja Grochowiaka. Fascynuje mnie ulotność życia. Ty widzisz ptaki, a ja widzę tę ulotność: wszyscy umrzemy, ale czy coś po nas zostanie?

Pamiętam, że przy jakiejś okazji Marcin Rutkiewicz, znawca urban artu i promotor kultury streetartowej, rzucił kiedyś patrząc na jedną z twoich prac: „Ale fajnie Kobayashi Gigerem zajechał” – rozumiem, że miał na myśli to, że odnalazł w twoim malarstwie klimat twórczości do H.R. Giger, twórcy charakterystycznej, mrocznej biomechanicznej estetyki znanej przede wszystkim z filmu „Obcy – ósmy pasażer Nostromo”.

Też to pamiętam – było to podczas COVID-u. Malowałem na „Pandemic Art Attack” na warszawskim squacie Syrena. I powiem ci, że tak jak wszyscy lubią „Obcego”, to mnie on jakoś specjalnie nie ekscytował. Ale wtedy stanąłem na chwilę z boku, spojrzałem i mówię: „Marcin, masz rację”. I faktycznie ostatnio pojawia się u mnie takie, trochę Gigerowe tło. Jest w tym turpizm, czyli fascynacja brzydotą. I chyba rzeczywiście dobrze się w tym czuję.

A wcześniej ważnym źródłem inspiracji był dla Ciebie Franciszek Starowieyski.

Wcześniej, teraz i pewnie na zawsze! A zaraziłem się jego wrażliwością dawno temu, jako młody chłopak. W latach 90. oglądałem w telewizji jego Teatr Rysowania. Bardzo fascynowała mnie forma jego kontaktu z publicznością. Studenci, akademia... a on rysował i jednocześnie wszystko komentował. Był dialog.

Kiedy później pojawiła się możliwość uczestniczenia w festiwalach streetartowych, na które przyjeżdżasz, robisz swoją sztukę, spotykasz ziomali i poznajesz nowych ludzi, poczułem, że to jest trochę kontynuacja tamtej sytuacji.

Dużo rysujesz również poza pracą nad konkretnymi realizacjami?

Dużo to mało powiedziane. Życia by nie starczyło, żeby pokazać wszystkie moje szkice. Zobacz! Mam tu mnóstwo szkicowników. Właściwie wiele z tych rysunków to już gotowe grafiki, tylko w małym formacie i w większości niepublikowane. Część później przerabiam na szablony i przenoszę na ściany.

Jak właściwie powstaje twoja praca?

To jest akcja-reakcja. Najpierw szkic, potem szablon i w końcu najlepsza część, czyli malowanie. Szablon pozwala mi uchwycić kreskę. Mogę złapać rysunek i przenieść go w większy format.

Samo wycinanie szablonów wygląda jednak na bardzo żmudną pracę.

Jest żmudne. Wycinam wszystko ręcznie, często całe wieczory i weekendy. Szkic skanuję, drukuję po kawałku, składam wydruk w całość i potem wycinam szablon w folii nożykiem introligatorskim. Z reguły robię szablony maksymalnie czterowarstwowe, ale najczęściej wystarczą mi dwie warstwy, a czasami nawet jedna. Mam trochę „malarzkiego drygu”, więc robotę robi też podmalówka. A najważniejsza jest dla mnie ostatnia warstwa: czarna.



A malowanie?

Tego w pracowni nie robię, bo bym się udusił. W końcu spray ma swoje prawa! Pracownia, wobec tego, jest tam: na dworze. W przypadku murali maluję w różnych miejscach, a obrazy robię najczęściej w ogrodzie.

Jest różnica między tym, co robisz na płótnie, a tym, co trafia na ścianę?

Ogromna. Malowanie na murach daje mi olbrzymią swobodę. Jeśli gdzieś farba pocieknie, to się cieszę, bo to też może być fajny efekt. Na płótnie jestem wobec siebie dużo bardziej wymagający. Jeśli pojawi się zacieki, obraz raczej nie wyjdzie z pracowni.

Street art to dla Ciebie również środowisko ludzi. Mam wrażenie, że bardzo ważne są dla Ciebie spotkania z innymi artystami.

Bardzo. Świat streetartowców jest dla mnie trochę jak rodzina. Uwielbiam przyjechać na Familia Graff Jam w Kwidzynie. Zjeżdża się ponad pięćdziesiąt ekip z całej Polski, rozstawiamy grille, otwieramy browary. A ja jestem wtedy dwadzieścia lat młodszy!



Podobało mi się również, jak w jednym z wywiadów powiedziałeś, że jesteśmy trochę jak środowisko rowerowych kurierów. Trafnie zauważyłeś, że między twórcami street artu praktycznie nie ma rywalizacji. Jako osoba będąca częścią tego świata mogę to tylko potwierdzić. Wzajemne wsparcie, wymiana doświadczeń i zwykła radość ze wspólnego tworzenia są dla nas dużo ważniejsze niż konkurowanie ze sobą

Dlatego bardzo lubię nasze wspólne malowania. Z okazji urodzin zazwyczaj zapraszam przyjaciół artystów i robimy sobie takie spotkania. Nazwaliśmy to „Spółdzielnią”. Było już kilka edycji, na jednej z nich też byłeś, kiedy malowaliśmy w opuszczonej, ponemieckiej fabryce samolotów Focke-Wulf.

Jeśli chodzi o sztukę – owszem! Ale ty masz przecież jeszcze drugie życie: na co dzień jesteś inżynierem budownictwa.

Tak. I to nie jest żadna przykrywka. Naprawdę lubię tę pracę. Skończyłem budownictwo na Politechnice Poznańskiej. Dzisiaj pracuję jako contract manager przy dużych inwestycjach budowlanych. Zajmuję się między innymi roszczeniami terminowymi i kosztowymi, warunkami realizacji inwestycji, korespondencją kontraktową. Zarządzam zespołem ludzi.

Czyli w dzień garnitur i wielkie inwestycje, a po pracy czaszki, szkielety i szablony.

Tak. I absolutnie mi to nie przeszkadza. Wszystko, co robię, robię z pasją. Praca inżynierska też daje mi dużo satysfakcji.

A skąd wziął się twój tajemniczy pseudonim: Kobayashi?

Z filmu „Podejrzani”. Jechałem na jeden z pierwszych eventów streetartowych do Elbląga. Organizatorzy powiedzieli: „Przyjeżdżaj, ale najpierw dawaj nika”. A ja byłem wtedy pod wielkim wrażeniem filmu z Kevinem Spaceym. Jest tam postać Kobayashiego – eleganckiego faceta, który załatwia wszystkie sprawy swojego tajemniczego szefa Keysera Söze. Więc bez namysłu rzuciłem przez telefon „Kobayashi”. I tak już zostało.

A dokąd zmierza teraz twoja sztuka?

Ostatni rok był dla mnie bardzo ważny pod względem rozwoju. Za namową żony podjąłem studia podyplomowe z rysunku i malarstwa na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. To była wspaniała przygoda, ale też czas bardzo intensywnej pracy nad warsztatem i poznawania nowych technik. Spotkania z wykładowcami i innymi artystami pozwoliły mi spojrzeć na własną twórczość z zupełnie innej perspektywy.

Jednym z efektów tej drogi jest choćby to, że po zajęciach z dr Moniką Koroną zacząłem samodzielnie przygotowywać płótna do malowania. Dla wielu osób może to wydawać się drobiazgiem, ale dla mnie oznacza jeszcze większą świadomość procesu twórczego i większą kontrolę nad efektem końcowym. Mam poczucie, że coraz bardziej interesuje mnie nie tylko sam obraz, ale również wszystko to, co prowadzi do jego powstania.

Ta pogłębiona świadomość wspiera zresztą moją naturalną ewolucję jako artysty. Do tej pory moje obrazy były raczej statyczne. Niezależnie od tematu czy formy, w przedstawianych przeze mnie postaciach było dużo spokoju i bezruchu. Teraz coraz częściej szukam dynamiki. Zastanawiam się, jak wprawić te postaci w ruch, jak opowiedzieć historię poprzez gest, napięcie i relacje między elementami obrazu.

Czyli będziemy oglądać poruszające się postaci i głębie drugiego planu?

Może. Chciałbym bardziej pobawić się ich przenikaniem, perspektywą, światłem. Technicznie mogłoby to oznaczać pokazanie jednej postaci jednocześnie w kilku fazach ruchu. Jak się ukaże, to pierwszy to zobaczysz. W każdym razie idzie za mną ruch, gra perspektywą i światłem.



* * *

Więcej o Kobayashim i świecie polskiego street artu

Jeśli rozmowa z Kobayashim rozbudziła Waszą ciekawość, jego historię — w znacznie szerszym ujęciu — znajdziecie w książce „Urban Vibe. Street Art Polska vol. 2” Pawła Kwiatkowskiego.

W książce znajdziecie ponad 500 ilustracji, sześć fotoreportaży, trzy filmy dokumentalne oraz liczne kody QR, które pozwalają zajrzeć za kulisy powstawania prac. „Urban Vibe” to więc nie tylko książka do oglądania, ale opowieść o tym, co dzieje się pomiędzy artystą, ulicą i miastem — zanim kolejna ściana zostanie zamalowana, przebudowana albo po prostu zniknie: „Urban Vibe. Street Art Polska vol. 2”.

Paweł Kwiatkowski

- 400 stron
- 21 artystów
- ponad 500 ilustracji

www.urbanvibe.art

[instagram.com/street_art_polska](https://www.instagram.com/street_art_polska)





Widok na dolny taras Rataj, ze zbiorów Spółdzielni Mieszkaniowej
„Ośiedle Młodych” w Poznaniu



„Wszystko było w zasięgu. Historia ratajskich osiedli”

Galeria Śluza zaprasza na opowieść o Ratajach

Rozmawiał: **Dawid Balcerek**

W zeszłym roku dzielnica Rataje świętowała setną rocznicę przyłączenia do miasta Poznania. Z kolei w tym roku, dokładnie 18 lipca, obchodzono 60. rocznicę wmurowania kamienia węgielnego pod budowę pierwszych fundamentów nowoczesnych osiedli, które w czasach PRL-u były jedną z największych i najnowocześniejszych realizacji urbanistycznych w powojennej Polsce. Jubileusz ten stał się punktem wyjścia do stworzenia wystawy w Galerii Śluza pt. „Wszystko było w zasięgu. Historia ratajskich osiedli”. To wyjątkowa opowieść przenosząca zwiedzających do „złotych czasów” PRL-u, podczas której można poznać między innymi proces budowy dzielnicy oraz codzienne życie jej mieszkańców. Dzięki archiwalnym nagraniom, fotografiom i interaktywnym stanowiskom dowiemy się, jak Ratajanie spędzali wolny czas, urządzali swoje mieszkania czy robili zakupy.

O wystawie rozmawiamy z kuratorką i liderką zespołu ds. wystaw, Anną Pikulą.

Jest tyle ciekawych dzielnic w Poznaniu. Dlaczego wybór padł właśnie na Rataje? Co sprawia, że mogą zainteresować przeciętnego odbiorcę wystawy?

W 2026 roku mija 60 lat od wmurowania kamienia węgielnego pod budowę Rataj. Uznałyśmy to za dobry pretekst, aby przyjrzeć się tej dzielnicy. Zazwyczaj na naszych wystawach koncentrujemy się na lewobrzeżnej części miasta, gdzie znajduje się poznańskie Stare Miasto. Tym bardziej interesujące wydało nam się skierowanie uwagi na prawy brzeg Warty.

Staraliśmy się dobrać tematy poruszane na wystawie w taki sposób, aby była ona interesująca zarówno dla osób mieszkających obecnie lub dawniej na Ratajach, jak i dla tych, którzy nie znają tej części miasta. Sam proces planowania i realizacji tak dużego przedsięwzięcia urbanistycznego może być fascynujący, podobnie jak analiza tego, w jakim stopniu założenia planistyczne sprawdziły się w praktyce oraz jak są oceniane przez mieszkańców.

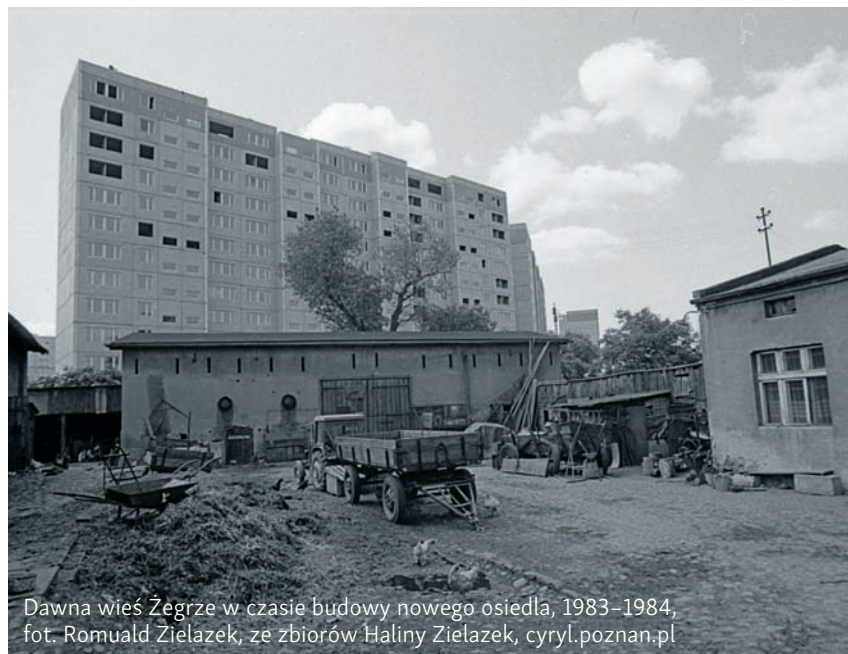
Co składa się na wystawę? Czego mogą spodziewać się odwiedzający Galerię Śluza?

Na wystawie prezentujemy dwie perspektywy spojrzenia na Rataje.

W dwóch salach na poziomie 0 oglądamy je z lotu ptaka. Opowiadamy o projekcie, jego założeniach, procesie budowy oraz o wsiach, które wcześniej znajdowały się na tym terenie i musiały ustąpić miejsca nowym osiedlom. Opowieść tę ilustrują dwie wielkoformatowe mapy umieszczone na podłogach sal. Dodatkowo na planszach informacyjnych znajdują się teksty, plany, zdjęcia archiwalne oraz materiały filmowe.

Narrację uzupełniają stanowiska interaktywne, na których można wykonać zadania związane z tematyką wystawy. Zwiedzający mogą między innymi zaprojektować układ osiedla z wykorzystaniem modeli bloków w skali lub sprawdzić, czy szybciej buduje się ścianę z cegieł czy z prefabrykatów.

W salach na poziomie -1 skala opowieści się zmienia. Tutaj patrzymy na Rataje z perspektywy mieszkańców. Przygotowując tę część wystawy, korzystałyśmy nie tylko z materiałów archiwalnych, lecz także z wywiadów przeprowadzonych spe-



Dawna wieś Żegrze w czasie budowy nowego osiedla, 1983–1984, fot. Romuald Zielazek, ze zbiorów Haliny Zielazek, cyryl.poznan.pl

cialnie na potrzeby ekspozycji. Rozmówcy opowiadają o tym, jak wyglądało życie na osiedlach, przeprowadzki do nowych mieszkań, nawiązywanie sąsiedzkich relacji oraz sposoby spędzania wolnego czasu.

Cytaty z wywiadów zostały uzupełnione materiałami archiwalnymi, fotografiami, wycinkami prasowymi oraz fragmentami filmów dokumentalnych. Także w tej części znajdują się stanowiska interaktywne.

Na wystawie możemy zobaczyć wiele archiwalnych zdjęć, filmów i eksponatów. Skąd pochodzą prezentowane materiały?

Duża część materiałów pochodzi ze zbiorów Spółdzielni Mieszkaniowej „Osiedle Młodych” w Poznaniu. Zwiedzający mogą obejrzeć między innymi kopie dwóch kronik dokumentujących działalność ratajskich domów kultury.

Ponadto korzystałyśmy ze zdjęć pochodzących z Repozytorium Cyfrowego CYRYL i innych instytucji, a także z materiałów filmowych udostępnionych przez poznański oddział Telewizji Polskiej oraz Wytwórnię Filmów Oświatowych.

Co, według Pani, jest najciekawszym elementem wystawy? Mnie największą frajdę sprawiło układanie osiedla z realistycznych klocków odwzorowujących Rataje.

Każda osoba zaangażowana w przygotowanie wystawy ma swój ulubiony temat.

Dla nas jako autorek niezwykle interesujące są również reakcje odwiedzających. Regularnie zaglądamy do tablicy znajdującej się na końcu wystawy, gdzie zwiedzający mogą zostawiać swoje wspomnienia i refleksje związane z Ratajami. Znajdujemy tam wiele ciekawych historii, opinii i osobistych doświadczeń.

Widziałem kilka ciekawych atrakcji interaktywnych dla najmłodszych. Co dokładnie znajdą w Śluzie dzieci i ich rodzice?

Wystawa była przygotowywana z myślą o rodzinach z dziećmi. Dlatego jej treści przekazywane są nie tylko za pomocą tekstów i ilustracji, lecz także poprzez różnego rodzaju zadania interaktywne. Choć zostały one stworzone głównie z myślą o najmłodszych, sprawiają również wiele radości dorosłym.

W każdej sali można znaleźć kilka aktywności związanych z prezentowanymi zagadnieniami. Przykładowo, w części poświęconej mieszkaniom i ich metrażom odwiedzający mogą spróbować umeblować lokale o różnych powierzchniach. Natomiast w przestrzeni poświęconej działalności domów kultury można przygotować własne przedstawienie teatralne.

„Mieliśmy do czynienia w bloku z bardzo dużym zróżnicowaniem społecznym. Byli tu wszyscy: przedsiębiorcy, pracownicy uczelni, firm, zakładów i szkół. Zarabiali jednak podobnie, dlatego mieszkali w zbliżonych warunkach” – pan Przemysław, mieszkaniec Rataj.

Czy mimo swojego wieku Rataje mogą być wzorem urbanistycznym dla współczesnego budownictwa i projektowania przestrzeni?

Na wystawie nie udzielamy jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Pokazujemy natomiast, jakie były założenia projektowe i na jakie aspekty zwracali uwagę architekci. Podkreślamy, że

**Rataje były tak budowane,
aby mieszkańcy mieli
blisko do wszystkich
miejsc niezbędnych
w codziennym życiu.
I wygląda na to, że to nadal
się sprawdza**



Ogródek kawiarniany restauracji Kasztelańska na os. Piastowskim, 1975.
fot. Stanisław Wiktor, cyryl.poznan.pl



Prace budowlane, fot. Jerzy Unierzyski, ze zbiorów Spółdzielni Mieszkaniowej „Osiedle Młodych”

od początku myśleli o tej przestrzeni kompleksowo, starając się stworzyć miejsce wygodne do życia i zapewniające łatwy dostęp do najważniejszych usług.

Ocenę tego, czy założenia te zostały zrealizowane oraz jak wypadają na tle współczesnych inwestycji mieszkaniowych, pozostawiamy zwiedzającym.

Obecnie na Ratajach wychowuje się już czwarte pokolenie poznaniaków. Czy było to dobre miejsce do życia? I czy nadal nim jest?

Mieszkańcy Rataj, z którymi przeprowadzałyśmy wywiady, bardzo pozytywnie oceniają swoje osiedla. Wśród najczęściej wymienianych zalet wskazują dużą ilość zieleni, bliskość szkół, przedszkoli, sklepów i innych usług, niewielki ruch samochodowy wewnątrz osiedli oraz dobre połączenia komunikacyjne z centrum miasta.

Także dziś te cechy są wysoko oceniane. Szczególne wrażenie robi liczba i jakość terenów zielonych. Posadzone kilkadziesiąt lat temu drzewa zdążyły osiągnąć imponujące rozmiary, a przestrzenie między blokami nadal wypełnia zadbana roślinność.

„Byliśmy nowi, wszyscy musieli odnaleźć się w tej społeczności. Nagle zostaliśmy wrzuceni do jednego worka i musieliśmy się poznać”

– pani Dorota,
mieszkanka Rataj

„Wszystko było w zasięgu”. Czy Rataje nadal oferują ideę „miasta w mieście”, którą realizowano w czasach PRL-u?

Na wystawie przywołujemy współczesną koncepcję „miasta 15-minutowego” i pokazujemy, że Rataje już w momencie projektowania spełniały wiele jej założeń. Stąd tytuł wystawy: „Wszystko było w zasięgu”. Osiedla projektowano tak, aby mieszkańcy mieli łatwy dostęp do wszystkich miejsc niezbędnych w codziennym życiu. Wiele wskazuje na to, że rozwiązanie to nadal dobrze funkcjonuje.

Jakie wydarzenia towarzyszą wystawie?

Zapraszamy na oprowadzania kuratorskie po wystawie, które odbędą się 22 października, 14 listopada, 10 grudnia, 16 stycznia oraz 28 lutego.

Dla najmłodszych przygotowano specjalną edycję Małych Psot, czyli cyklu zajęć skierowanych do dzieci w wieku od 1 do 2 lat. Odbędzie się ona 7 października. Ponadto w styczniu zaplanowano wydarzenie z okazji Dnia Babci i Dziadka, adresowane do dziadków oraz wnuków w wieku od 6 do 10 lat.

Wystawa jest bezpłatna i będzie dostępna do 28 lutego 2027 roku.

Galeria Śluza

ul. Dziekańska 2, Poznań

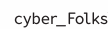
Facebook: @GaleriaSluza

**CZA5
NA TEATR**
FESTIWAL

**SPEKTAKLE
SPOTKANIA Z ARTYSTAMI
GALERIA KOSTIUMÓW
KONFERENCJA
i wiele innych...**

**POZNAŃ
25.11-1.12.2026**

WIĘCEJ INFORMACJI ORAZ BILETY ZNAJDZIESZ W KASIE TEATRU ORAZ NA **WWW.TEATR-MUZYCZNY.PL**





Estrada Poznańska zaprasza

Bardzo poznańska jesień!

Liście lecą z drzew, kawy wciąż za mało, patrzysz przez okno, szukając ostatnich promieni słońca i układasz sobie w głowie sposób na jesień. Warto zaplanować swoje jesieniarstwo tak, żeby doświadczyć czegoś dodającego energii i kulturalnej dopaminy, zejść z utartych szlaków, zajrzeć tam, gdzie być może jeszcze nie zaglądałeś, popatrzeć, poczuć i po raz pierwszy posłuchać naprawdę mocnych historii.

Listopad? Po brytyjsku!

Pamiętasz seanse w warsztacie samochodowym, projekcje w kościele albo w hali fabrycznej? To dobrze, bo nadchodzi trzecia edycja British Film Festival, a wraz z nią filmowe doświadczenia Outside The Box, czyli filmy w wyjątkowych miejscach, które na co dzień nie kojarzą się z dużym ekranem. Domem festiwalu pozostaje oczywiście kino Muza. Jednak na ponad 100 seansów w ramach 10 sekcji programowych można też się wybrać do Kina Pałacowego i Kina Rialto. A wspomniane sekcje tematyczne to bardzo szerokie spektrum tego, co nazywamy królestwem brytyjskiego filmu.

Sekcja Mind the Gap porwie w stronę brytyjskiego realizmu społecznego, Commonwealth pokaże zderzenia kultur w kontekście brytyjskiej kolonizacji, a First Things First pozwoli zobaczyć przedpremierowe produkcje, które nie trafiły jeszcze – albo nigdy nie trafią – do regularnej dystrybucji kinowej w Polsce. Sekcja Bloody Hell, przygotowana wspólnie z Octopus Film Festival, sięga z kolei po kino gatunkowe, eksploatacyjne i świadomie igrające z konwencjami. Five O'Clock, powstające we współpracy z British Film Institute, przygląda się z natomiast kinu dziedzictwa związanemu z imperialną i kolonialną historią Wielkiej Brytanii. Dla młodszych widzów i rodzin przygotowano Never Grow Up, a High Season pozwoli nadrobić

The poster for the British Film Festival 2026 features a minimalist design with large, bold, red text on a light grey background. At the top left, the text 'BFF ±26' is displayed. Below it, a large red rectangular block is partially visible. To the right, a large, abstract, red shape resembling a stylized 'B' or a film strip frame dominates the upper right portion. Below this shape, the text 'ZJEDNOCZONE KRÓLESTWO KINA' and 'UNITED KINGDOM OF CINEMA' is written in red. The main title 'BRITISH FILM FESTIVAL' is in large, bold, red capital letters, followed by the dates '10-15.11.2026' in the same style. Below the dates, the website 'BRITISHFILMFESTIVAL.PL' is listed. At the bottom, there is a row of logos for the organizing institutions: Kino Muza, Rada Kultury, Poznań, and others, along with logos for sponsors and partners like the European Union and the Polish Ministry of Culture.

najlepsze i najciekawsze filmy Zjednoczonego Królestwa pokazywane w kinach w minionym sezonie.

Program uzupełnią dwie retrospektywy poświęcone twórczości wybitnych aktorów, aktorek, reżyserów i reżyserek, a także spotkania z zagranicznymi gośćmi i dyskusje wokół filmów oraz tematów, które pojawiają się na festiwalu. Cały program British Film Festival w ostatnim tygodniu października. Wtedy ruszy też sprzedaż biletów i karnetów, uprasza się o czujność.

W kalendarzu: British Film Festival, 10–15 listopada



Pop Up — koncertowo z Estradą

Jeszcze wiosną pojawił się w mieście koncertowy format, który lubi trzymać publiczność w lekkiej niepewności. Estrada Stage Pop Up działa według prostej zasady: znasz datę koncertu, cenę biletu, ale miejsce i wykonawca pozostają tajemnicą jeszcze dwa–trzy tygodnie przed wydarzeniem. Wiosną słuchaliśmy świetnych rzeczy w czterech zupełnie różnych przestrzeniach – między innymi w Galerii u Jezuitów i kameralnej kawiarni. A za chwilę Estrada znów powtarza ten eksperyment i zaprasza do fantastycznych, różnorodnych muzycznych przeżyć. Pierwszy koncert już 22 października o godz. 19:00. Wystąpi Sabatini – warszawski zespół, który łączy alternatywny folk, post-rock i muzykę do filmów, których nie nakręcono. W ich estetyce spotykają się inspiracje ludowymi pieśniami, szamańskimi ob-

rzędami i starymi serialami, przefiltrowane przez współczesne gitarowo-syntezatorowe brzmienie. Sabatini tworzy piosenki, które wymykają się tradycyjnym formom – bez oczywistych refrenów i bez ludowych instrumentów. A teraz najważniejsze: znamy już miejsce – to postgastronomiczny lokal przy Masztalarskiej 8a, gdzie jeszcze niedawno gotowano po gruzińsku, a za chwilę będzie wielkie mieszanie dźwięków.

Na kolejnych artystów i kolejne miejsca trzeba jeszcze chwilę poczekać. Wiadomo jednak, że program znów będzie wędrował między różnymi muzycznymi światami. Pojawią się połączenia muzyki fortepianowej z elektroniką, ambientem i jazzem. A z racji niewielkich przestrzeni warto zapolować na bilety.

W kalendarzu: 22 października, 19 listopada, 3 grudnia i 17 grudnia

Historie na nowo

A teraz herbata w termos, parasol pod pachę i ruszamy w miasto, żeby poznać fascynujące historie kobiet, które tworzyły charakter Poznania. To nie pomnikowe postacie i odległe bohaterki zerkające ze stron podręczników. To świetne, inspirujące osoby, królowe anegdot i nieoczywistych losów miasta.

Na pełne przygód miejskie spacerory zapraszają ludzie zakochani w Poznaniu, przewodniczki i przewodnicy wyspecjalizowani też w kobiecych opowieściach. Być może znasz ich z profili na Instagramie, bo i tam oprowadzają po mieście.

Przed nami 4 trasy spacerowe, 40 miejsc i opowieści o 35 kobietach, o których nie zawsze wspomina się podczas tradycyjnych spacerów. Niektóre będą zupełnie nowym odkryciem, a jeszcze inne sprawią, że spojrzysz inaczej na miejsca, które wydawały się dobrze znane.

Na spacer można też ruszyć na własną rękę: Estrada przygotowała Mapę Kobiet Poznania – zaznaczone na niej punkty prowadzą do kolejnych miejsc i historii. Mapę znajdziesz online na stronie Estrady Poznańskiej oraz w wersji drukowanej w Punktach Informacji Turystycznej i Miejskiej.

Cały projekt Estrada Poznańska przygotowała jako część Poznańskiego Tygodnia Kobiet, organizowanego od kilku lat przez Urząd Miasta Poznania.

W kalendarzu:

17 października WSPÓŁCZESNE POZNANIANKI – Natalia Goślicka, autorka „Poznańskich Zakamarków”

18 października POZNAŃSKIE ARTYSTKI – Małgorzata Maik-Ślisińska, czyli „Gosia w Poznaniu”

20 października NIEZNANE BOHATERKI POZNANIA
Joanna Lip z „Poznańskiej Kamienicy”

24 października POZNANIANKI, KTÓRE PISAŁY
WŁASNĄ HISTORIĘ – „Fifny Przewodnik”, Jakub Skrzypczak

ESTRADA
POZNA
ŃSKA

17-25.10
2026

POZNANIANKI

Historie tuż obok nas



estrada.poznan.pl
poznan.pl/poznaniarki

POZnań*



Doświadczenie przede wszystkim

**Robert Bondara z Teatru Wielkiego opowiada
o Conradzie Drzewieckim**

Rozmawiała: **Karolina Sierszulska**

W połowie października w Teatrze Wielkim w Poznaniu będziemy świętować jubileusz 100-lecia urodzin Conrada Drzewieckiego w ramach czwartej edycji Festiwalu Moniuszki. To doskonała okazja, by lepiej poznać jedną z najważniejszych postaci w historii polskiego tańca. O Conradzie Drzewieckim, który jako tancerz, choreograf i pedagog współtworzył oblicze polskiego tańca i powołał do życia Polski Teatr Tańca, opowiada Robert Bondara, tancerz, choreograf i reżyser spektakli prezentowanych w Polsce i za granicą, od lat związany z Teatrem Wielkim w Poznaniu.

Conrad Drzewiecki był prekursorem nowoczesnego tańca w Polsce. Co w jego twórczości wciąż jest aktualne?

Musimy uświadomić sobie, w jakim miejscu sztuka tańca znajdowała się w teatrach operowych i baletowych w latach 60. XX wieku, kiedy Conrad Drzewiecki zaczynał swoją pracę. Conrad, dzięki swoim doświadczeniom międzynarodowym, poznał różnego rodzaju techniki, które potem wykorzystywał, tworząc swoje choreografie. I trzeba tutaj otwarcie powiedzieć, że było to coś nowatorskiego. Coś, co polska widownia zobaczyła po raz pierwszy. Więc tak, jest on prekursorem zupełnie nowego sposobu tworzenia spektakli, budowania i opowiadania historii za pomocą innego języka niż tylko taniec klasyczny. Czy one są wartościowe? Tak, i to nie tylko z punktu widzenia historycznego, ale też jako choreografie same w sobie. Ślad Conrada jest w polskiej historii tańca bardzo istotny, wręcz przełomowy, jeżeli chodzi o nową choreografię i spojrzenie na nią. Mam nadzieję, że widzowie będą mieli okazję odkryć to, oglądając naszą premierę.

W spektaklu zobaczymy cztery choreografie Conrada Drzewieckiego. Skąd taki wybór?

Wszystkie cztery choreografie różnią się od siebie. Inne są „Odwieczne pieśni”, inna jest „Etiuda b-moll”. W jednej jest głębsza historia, w drugiej większy nacisk położono na estetyczną stronę i tworzenie przestrzeni tańca. „Adagio” Albino-

nego ma niewyobrażalną atmosferę, która zainspirowana jest katedrą Duomo w Mediolanie. Z kolei „Krzesany”, ze swoją żywiołowością i nawiązaniem do „Święta wiosny”, jest niezwykle energetyczny. Każda ta choreografia jest inna. Zależało mi na tym, aby pochodziły z różnych okresów twórczości Conrada i tworzyły ciekawą opowieść o nim za pośrednictwem jego sztuki. Niektóre z tych choreografii nie były realizowane przez wiele lat. W ich rekonstrukcji pomogli baletmistrzowie pracujący w Teatrze Wielkim w Poznaniu, a także osoby, które pracowały z Conradem. Niezwykle pomocne są też materiały archiwalne i wideo.

Jak wygląda praca nad odtworzeniem choreografii sprzed kilkudziesięciu lat? Co można lub trzeba zachować, a gdzie szukać własnych rozwiązań?

Inscenizacja tych choreografii jest sporym wyzwaniem. Z jednej strony chcemy i powinniśmy zachować wierność choreografiom Conrada Drzewieckiego. Z drugiej strony te choreografie wykonywane są przez współczesnych tancerzy. Jeśli porównamy taniec do jakiegokolwiek dyscypliny sportowej, widzimy, jaki rozwój nastąpił u sportowców i w ich wydolności w przeciągu 50 lat. To samo jest z tancerzami. To są zupełnie inni artyści, o zupełnie innych, większych nawet możliwościach fizycznych swojego instrumentu, jakim jest ciało w tańcu. Więc niejako musimy przetłumaczyć trochę te choreografie



na współczesnych tancerzy i dla współczesnego widza, jednocześnie nie starając się nic zmieniać. To jest praca z detalem, z niuansami. Chcemy zachować wszystkie szczegóły, dochować wierności tym choreografiom.

Jak jednym zdaniem, obrazem, a może metaforą opisałby Pan twórczość Conrada Drzewieckiego komuś, kto nie zna jego dorobku i na co dzień nie ma kontaktu z baletem?

Nowatorskie, porywające, ciekawe, zaskakujące, wyrafinowane artystycznie. Ale ciężko jest, będąc związanym tyle lat z tańcem, oderwać się od kontekstu i świadomości, jak ważny jest to twórca dla historii polskiego tańca. Conrad Drzewiecki jest też bardzo ważny dla nas, dla tożsamości zespołu baletowego, dla Baletu Teatru Wielkiego w Poznaniu. Tym samym jest to też opowieść o nas, bo to twórca przez wiele lat związany z Poznaniem.

Czy łatwiej jest tworzyć własną choreografię, czy mierzyć się z dziełem tak ważnej postaci polskiego baletu?

Wydaje mi się, że to są dwie różne rzeczy. Gdy tworzę choreografię, to buduję swój własny świat artystyczny. To jest moja autorska wizja, stworzenie własnego języka i przekucie pomysłów w spektakl. Tutaj mamy inną sytuację, to znaczy współpracujemy z osobami, które pracowały z Conradem, które znają jego choreografię, które do tej pory pamiętają, co on im mówił.

Czy nasze wyobrażenie o balecie jest nadal nieaktualne, czy może coś się zmieniło?

Wydaje mi się, że ciągle wiele osób postrzega balet przez pryzmat stereotypów, nie znając tej sztuki tańca. A ona rozwija się bardzo dynamicznie. Balet to nie tylko taniec klasyczny i „Jezioro łabędzie”. A nawet jeśli o nich mówimy, to one też są obarczone wieloma mitami i stereotypami. Pomimo tego, że taniec klasyczny ma tę samą strukturę, to cały czas się zmienia. Zmieniają się tancerze, ich możliwości fizyczne ciała. Balet dzisiaj znaczy o wiele więcej. Co się zmieniło? Dzisiaj rozpiętość tematów, które podejmuje taniec w swoich spektaklach, jest nieporównywalnie większa niż kiedykolwiek wcześniej. Sama wizualna strona tych spektakli jest niezwykle interesująca i bardzo wiele może współczesnemu widzowi zaoferować.



Archiwum Teatru Wielkiego w Poznaniu, fot. Maciej Zakrzewski

Czy nie jest tak, że współczesność czy to, co przynosi życie, staje się inspiracją do tworzenia nowych choreografii? Wówczas ma Pan, jako artysta, większą swobodę niż np. pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu?

Tak, to prawda. Taniec opowiada o wszystkim. Opowiada o rzeczach, z którymi my, widzowie, dzisiaj możemy się bardzo utożsamiać. I nie odwołuję się tutaj tylko do wrażeń estetycznych, jak moglibyśmy sądzić po balecie klasycznym. On potrafi trafić głębiej, poruszyć tematy bardzo aktualne. Pozwala nam czasem, tak jak w teatrze, przejrzeć się w zwierciadło i poznać samych siebie. Widzę to po reakcjach publiczności, która przychodzi na nasze spektakle. To zostaje w ich pamięci przez długi czas.

Co jest ważniejsze, żeby widz zrozumiał spektakl, czy żeby go poczuł?

To nawiązuje do tematyki mojej ostatniej premiery, którą realizowałem niedawno z Cincinnati Ballet. Był to spektakl, który dotyczył szeroko rozumianej sztuki. Analizując różnego rodzaju materiały, które dotyczą tego tematu, utkwiał mi w głowie cytat Susan Sontag z eseju „Przeciw interpretacji”, że w miejscu hermeneutyki potrzebujemy erotyki sztuki. Czyli właśnie tego, o czym mówimy – nie zawsze trzeba taniec zrozumieć, żeby go odebrać i doświadczyć. Tym bardziej że jest on rodzajem sztuki niewerbalnej. Nie zawsze da się go opowiedzieć słowami, po prostu. Zdecydowanie najistotniejsze jest, żeby doświadczyć. Zrozumienie tańca przyjdzie poprzez jego doświadczenie.

A photograph of two men in a record store. The man on the left, with a beard and wearing a black t-shirt with the word 'Primitive' in gold script, is looking down at a record in a cardboard sleeve. The man on the right, wearing a black cap, glasses, and a white poncho, is looking towards the camera with a slight smile. They are surrounded by cardboard sleeves filled with vinyl records. The background shows a white brick wall decorated with various circular and rectangular art pieces.

Między klasztorem a drum'n'bassem

Frater i Mrokas

Rozmawiali: Dawid Balcerek, Karolina Sierszulska

Zdjęcia: Dawid Balcerek

Frater, znany również jako Voitek Noir, czyli Wojtek Błachowiak OP, przyjechał w swoje rodzinne strony — do Poznania. Dominikanin na co dzień mieszka w Krakowie, więc złąpaliśmy się przelotem. Współpracuje z Mrokasem, przed nimi wydanie płyty. Nagrywa też sam, łącząc drum'n'bass z duchowym przekazem. Dzieli się tym na swoim Instagramie. Spotkaliśmy się w czwórkę w kawiarni: Frater, Mrokas, ja i Dawid, który był moim supporterem – zrobił wstęp, z którego wyszła niezła rozmowa. Ja ją domknęłam, siedząc z chłopakami na ławce przy ulicy Garncarskiej, po zdjęciach w Vinylgate Recordstore.

Karolina: Muszę zacząć od tego, czym w ogóle jest drum'n'bass? Jakbyście mogli wytłumaczyć i opowiedzieć więcej totalnie zielonej osobie, jak ja?

Frater: To jest gatunek muzyczny, który pochodzi z Anglii. Jest rozwinięciem muzyki jungle, która z kolei czerpie z brzmień jamajskich, soundsystemowych. Muzyka ta ma kilka elementów charakterystycznych. Po pierwsze — szybkie tempo. Po drugie — połamany rytm. Nie taki równy, miarowy, cztery na cztery, tylko bardziej synkopowany, skoczny. Zna na jest też z tego, że dużą rolę pełni linia basu. Perkusja bazuje często na nagraniach funkowych, które są jakoś pocięte, często przyspieszone. I to jest muzyka robiona głównie z myślą o klubach.

Mrokas: Ja się wywodzę ze środowiska rapowego. Moje wcześniejsze albumy zawsze były hip-hopowe, rapowe. Niektórzy moi słuchacze łapią drum'n'bass, bo to coś nowego. Inni nie. Na świecie ludzie znają i lubią ten gatunek. Ale w Polsce nie. Tutaj tego po prostu nie ma.

Dawid: Wojtek, to cofnijmy się teraz do 2011 roku, kiedy razem z Tasem wydaliście płytę. Rok, czy dwa lata później kolejną. Byliście na fali. Do tego IDA World DJ Championships, wicemistrzostwo, potem Mistrzostwo Polski. Czemu to się zatrzymało? Co było powodem?

F: Nasze drogi się rozeszły. Hubert wyjechał do Szczecina, ja do Londynu. Mnie zawsze interesowały nowości elektro-

niczne, Wielka Brytania, a Hubert szedł w klasyczną stronę, np. boom bap, producenci nowojorscy, bity ninetiesowe. Muzycznie i życiowo to nam się rozjechało. Miałem wówczas potrzebę wyjścia ze swojej strefy komfortu i poszedłem za tym. Wyjechałem i to sporo zmieniło. W Anglii musiałem wszystko zbudować od zera. To było bardzo trudne, ale nie żałuję tego.

D: W Londynie też działałeś z DJ-ką?

F: Tak, trochę grałem, ale konkurencja była ogromna. Tam trzeba się przebić, „stać na rękach”, znać odpowiednich ludzi. Sama gra nie wystarczy. Nie miałem i do tej pory nie mam takiej siły przebicia, żeby się przepychać łokciami. Ale bywały okazje, to tu, to tam zagrałem. Pojawienie się anonimowego człowieka, jeszcze z Polski — to nie było łatwe. Pamiętam jak kilkakrotnie starałem się o pracę i często było tak, że wybierali ludzi stamtąd. Doświadczyłem tego, że nie jestem u siebie.

D: Nie wiedziałem, że byłeś w Londynie. A teraz mam już odpowiedź na to, skąd zajawka na drumy.

F: Stamtąd. Jak byłem pierwszy raz w Londynie jako nastolatek, to poszedłem do sklepu z płytami. Przeglądałem je i wyjąłem chyba High Contrast. Puściłem piosenkę „Racing Green”, taki singiel. Powiedziałem wtedy: „Ale to jest dobre”. To mnie wkręciło, te liquidity (bardziej melodyjny podgatunek drum'n'bassu — przyp. red). Bo u nas w Empiku były płyty, ale nie sądzę, że jakiegokolwiek drum'n'bassy.



D: A to właśnie tam zainteresowałeś się produkcją?

F: Nie, już wcześniej. Nie planowałem tego robić. Gdy rozeszliśmy się z Tasem, to chciałem sam się tego nauczyć. Interesowała mnie produkcja, ale nie w sposób DJ-ski. Bardziej winyle, jakieś loopery i to mi zostało do dziś. Nie klikanie myszką, tylko manualny kontakt, hardware.

D: Masz nadal te analogowe „graty”?

F: Kilka mam, nie za wiele. Chociaż trochę się nazbierało przez te 20 lat, nie ukrywam.

D: I co dalej? Wróciłeś z całym muzycznym bagażem doświadczeń z Wielkiej Brytanii. W Polsce zgadałeś się z Mrokasem i zostałeś producentem?

M: No, taki mały skok. Wcześniej był cykl imprez. Neo Soul Hip Hop, Jam Session, Live Session, z różnymi muzykami. W rozmowie z Wojtkiem wyszło, że fajnie byłoby, gdyby ktoś robił drum'n'bass. A nikt z moich znajomych wtedy tego nie tworzył. Wszyscy szli w trap i autotune. I Wojtas mówi: „No ja mam trochę drum'n'bassu”. No i zaczął mi wysyłać te drum'n'bassy. Ale nie wysłał paczki pięciu, tylko: „Zrób jeden, dostaniesz drugi”. (śmiech) Właściwie on już miał gotowy prawie cały album producencki. Potem to wydaliśmy, ale nie mieliśmy na to końca pomysłu. Zagraлиśmy jeden koncert. Później, przez to, że u mnie dużo się działo prywatnie, długo się nie widzieliśmy.

F: Co ciekawe, oba projekty, o których rozmawiamy, czyli projekt z Tasem i projekt z Mrokasem, łączy to, że pierwsze koncerty odbyły się w salkach parafialnych. Z Tasem pierwszy koncert graliśmy w salce parafialnej w Kicinie, a z Mrokasem w salce parafialnej w Poznaniu na Winiarach w trakcie pandemii Covid-19. Uważam, że w obu tych projektach, które zaczęły się w tak wyjątkowy sposób, udało się coś zdziałać.

D: A jak się poznaliście?

M: Zналиśmy się z widzenia, z rapowych eventów, ale byliśmy tylko na „cześć”. Pamiętam, jak kiedyś Wojtas, gdy był jeszcze ministrantem, przyszedł do mnie na kolędę.

F: Tak! (śmiech) Byliśmy z tego samego osiedla i tak się złożyło. Ale słuchałem też tego, co nagrywał Mrokas, jak byłem młodszy. Od początku był respekt.

D: No i co teraz robicie razem? Drugą płytę?

M: Tak, ale z perturbacjami. Zaczęliśmy dwa lata temu, już prawie trzy. I w pewnym momencie Wojtek powiedział, że zamyka się na rok w samotni na Służewie i wstępuje do zakonu. I ja mówię: „No i co?”.

F: No i to trochę namieszało, bo byliśmy wtedy prawie na finiszu. Tak nam się wydawało. Pamiętam, jak jechałem do Warszawy na obłóczyny (przyjmowanie habitu — przyp. red.), to jeszcze w pociągu wysyłałem im projekty, żeby mogli to skończyć.

M: Przez rok działaliśmy z Jacolem (Jacek Pohl, poznański beatmaker i muzyk — przyp. red.), a potem Wojtas wrócił

i wszystko wywrócił do góry nogami. Załamalem się trochę, bo to już tak długo trwało. Numery były stare, więc powiedziałem do Wojtki: „Musimy stworzyć coś nowego”. Powstały wtedy cztery najfajniejsze numery.

F: Ja pomiędzy tym zacząłem robić rzeczy pod szyldem Frater. Jaką muzykę będzie robił teraz gościu, który jest zakonnikiem i mieszka w klasztorze? Po roku nierobienia zacząłem działać. Wiedziałem, że się zmieniłem jako człowiek, więc byłem ciekawy, jak to wpłynie na muzykę. I wpłynęło bardzo! Przestałem się przejmować opinią innych i to się słyszało w tych kawałkach. Teraz chodzi mi po głowie pomysł, żeby wypuścić materiał producencki z różnymi gośćmi. Rozbudować to, co wrzucałem do internetu w postaci rolek. Przede wszystkim jednak zależałoby mi, żeby to nie było tylko skierowane tylko do katolików. Raczej do chrześcijan, ale też ludzi poszukujących i wszystkich tych, którzy mają życiowe lub filozoficzne rozkminy. Nawet jeśli ktoś nie jest katolikiem i nie chodzi do kościoła, może to do niego trafić, bo opowiada o poszukiwaniu, bardziej filozoficznie, niż teologicznie. Wiadomo, są odpowiedzi bardziej katechizmowe, których mógłbym udzielić. Ale one nie zawsze przemówią do ludzi, którzy poszukują. Oni chcą sami ich szukać, nie chcą gotowych rozwiązań.

K: Wojtek, opowiedziałeś nieco o tym, jak to było gdy wstąpiłeś do zakonu i że mniej więcej wtedy pojawił się Frater. Chciałam Cię zapytać o Twoich braci i ich reakcje? Czy Cię wspierają? Co myślą?

F: Odbiór jest różny, czasem pojawiają się głosy krytyczne. Większość ma swój świat i sprawy albo po prostu nie słucha takiej muzyki. Jest też garstka braci, którzy są fanami. Wspierają, pytają, oglądają i przesyłają ludziom dalej. Czuję, że im się to podoba, że to rozumieją i jakoś z tym identyfikują. To dla mnie bardzo ważne. Daje mi to potwierdzenie, że są tacy, którzy widzą w tym sens. Tym bardziej, że są to osoby, które mnie samego inspirują, jak np. Krzysztof Pałys OP czy Tomasz Gałuszka OP. Zauważyłem, że ojcowie, którzy sami tworzą, piszą, nagrywają, są twórczy, oni bardziej rozumieją i doceniają, to co robię.



K: Na koniec chciałam Was jeszcze zapytać o plany, może marzenia?

F: Marzenie? Żeby ludzie w Polsce bardziej skumali drum'n'bass.

M: Tak, ja też chyba się pod tym podpisuję.

F: Powoli oswajam, oswajam. Naprawdę mam nadzieję, że kiedyś ludzie po prostu przyjdą i powiedzą, jak ta siostra zakonna na jednym z eventów: „Ja nie słucham takiej muzyki, jaką brat tworzy. Nie rozumiem, nie lubię, ale gdy patrzę, jak brat się dobrze bawi, to mi też się ten humor, energia udziela. Podoba mi się to”. Wtedy stwierdziłem, że nawet jeśli ludzie nie słuchają drum'n'bassu, to jeśli ja będę miał z tego fun, to jest szansa, że inni też będą mieli. I tego się trzymam.



„Wszelki constans mnie nudzi”

Guest Julka

Rozmawiała: **Zofia Myślicka**

Zdjęcia: **Izabela Kowalska**

Guest Julka na swoim debiutanckim albumie „Melanż” nie próbuje wpisywać się w żadne sztywne ramy. To osobisty zapis zmian, które zaszły w niej w ostatnich latach – zarówno jako człowieku, jak i artystce. Od neosoulowych inspiracji i pierwszych polskich melorecytacji po coraz śmielsze zanurzanie się w hip-hopowej estetyce. Od współpracy z najbliższymi, która przyniosła „kilka ślubów i rozwodów”, po pełną szczerość i świadome wystawienie własnych emocji na widok publiczny. W rozmowie opowiada o dojrzewaniu, twórczej bezkompromisowości i kulisach powstawania „Melanżu”. Skąd wziął się tytuł albumu? Co dziś oznacza dla niej bycie hip-hopowcem? Jak narodziła się okładka płyty i dlaczego nie zamierza zatrzymywać się w jednym miejscu? Jak sama przyznaje: „wszelki constans mnie nudzi”.

Wydałaś właśnie swój debiutancki album „Melanż”. Mówiłaś, że w ostatnim czasie bardzo zmieniałaś się wewnętrznie i chciałaś pokazać tę przemianę na płycie. Czym ten krążek różni się od Twoich wcześniejszych materiałów? Jakbyś porównała „starą” Julkę z tą obecną?

Różni się na pewno moim poziomem świadomości samej siebie. Zawsze, uważam, byłam mocno świadoma świata, który mnie otacza, ale nigdy nie rozumiałam, co dzieje się wewnątrz mnie. Na pewno wydorostałam emocjonalnie i myślę, że to może być widoczne na albumie. Zawsze wzbraniałam się przed myśleniem o sobie jako o „kobiecie”, raczej widziałam się jako „dziewczynę” albo nawet „dziewczynkę” i tak też się czułam. Aktualnie jestem gdzieś pośrodku tego dorastania i, co ważniejsze, nie funkcjonuję już jako bezwiedny odbiornik, a następnie przekaznik bodźców, ale jako umyślny nadajnik przekazujący konkretną wiadomość w konkretnym kierunku.

Sam tytuł „Melanż” sugeruje mieszanekę różnych rzeczy, muzycznych, emocjonalnych, może też osobistych. Co dla Ciebie właściwie oznacza „Melanż” i dlaczego właśnie to słowo najlepiej opisuje tę płytę?

Szukałam czegoś, co odda właśnie tę wielowymiarowość, może lekki chaos, coś mocnego, co właśnie się definiuje. Jednocześnie jest sumą wielu mikrohistorii, które tworzą jeden szerszy zapis. No i po drugie, w momencie szukania tytułu byłam mega wkręcona w album Bahamadii „Kolaż”.

W sumie jest jeszcze jedna rzecz. Ostatnio była taka akcja, w której chodziło o to, co działo się 10 lat temu, tzn. w 2016 r., i że teraz, w 2026 r., dzieje się analogicznie to samo. Ja 10 lat temu miałam pierwszą indywidualną wystawę swoich zdjęć, a cykl tych fotografii nazywał się „SCENY”. Teraz sobie przypominam, że kiedy doszła do mnie informacja o tej akcji i zaczęłam kminić nad tym, co było 10 lat temu, pomyślałam o tej wystawie i o jej tytule. A byłam jeszcze przed wymyśleniem nazwy „Melanż”. Wtedy znalazłam mega dużo analogii między tym, co chcę powiedzieć tym albumem, a tym, co chciałam powiedzieć swoimi zdjęciami 10 lat temu. Łącznie z tytułem, który od początku miał być właśnie zapisem różnych „scen” z mojego aktualnego życia.

Podkreślasz, że przy tym albumie postawiłaś na stuprocentową bezkompromisowość i otwartość, mówiąc wprost to, co czujesz i myślisz, zamiast szukać tematów pod to „co się dobrze sprzedaje”. Trudno było porzucić myślenie o tym, jak muzyka zostanie odebrana?

Właściwie chyba dopiero przy „Melanżu” zaczęłam się nad tym zastanawiać, ale w żadnym momencie nie kierowałam się wynikiem moich rozmyślań. To chyba wynikało właśnie z tego, że czułam, jak bardzo wnikałam sama w siebie, i ten ekshibicjonizm trochę mnie przestraszył. Stąd zadawanie pytań, które szybko porzuciłam w myśl przekonania: „Miej wyjebane, a będzie ci dane”.

Czy jest na płycie jakiś moment, który był dla Ciebie szczególnie trudny do przedstawienia publicznie?

Tak, moment, w którym w tekstach zaczęłam na bieżąco relacjonować proces pracy nad albumem, opowiadając o sytuacjach i ludziach, którzy uczestniczyli w tym procesie. To nie było tak, że się tego bałam, że ktoś może odebrać jakąś piosenkę zbyt personalnie, że jest o nim itp. Raczej ekscytowało mnie to, że teraz mogę skonfrontować tę osobę z moimi słowami. Nigdy wcześniej nie czułam jednak ekscytacji z takiego powodu, więc to chyba było najtrudniejsze. Zastanawiałam się w sumie, czy to normalne i czy ja jestem normalna, czując taką ekstazę.

Zaczynałaś od tworzenia po angielsku rzeczy neosoulowych, a Twoje pierwsze polskie numery to były bardziej melorecytacje. Ostatnio powiedziałaś: „powoli staję się hip-hopowcem” i że czujesz to nawet w ciele i ruchach. Kiedy poczułaś, że rap przestał być eksperymentem, a stał się dla Ciebie naturalnym środowiskiem?

To „bycie hip-hopowcem” było trochę prześmiewcze. Nie uważam, że należę do jakiejś grupy czy subkultury, nigdy nie było to moim celem. Chcę się czuć komfortowo i naturalnie, a tak się wydarzyło, że między innymi w takim środowisku zaczęłam coraz bardziej czuć się dobrze. Teraz większość moich znajomych to ludzie ze świata muzyki, więc wnikięcie w to środowisko było czymś naturalnym, a takie funkcjonowanie stało się codziennością.

W numerze „Imprezka” przewija się wers, że „płyta z kolegami jest trudniejsza”. Album robiliście wspólnie z Radkiem Muchą i bliską ekipą muzyków. Jak wyglądało Wasze twórcze docieranie się w studio przy pracy nad tak dużym projektem?

Wers odnosi się do samego początku pracy nad płytą, kiedy jeszcze był plan, że album stworzymy razem z moim zespołem. Połączenie tak wielu muzycznych światów w coś, co finalnie najbardziej zadowoli mnie, trwałoby przynajmniej kilka lat, o ile w ogóle okazałoby się możliwe, więc temat upadł na samym starcie. Wróciliśmy do klasycznego planu, czyli ja plus bity, co finalnie również okazało się niezłą przeprawą. Mnóstwo spięć, kilka ślubów i rozwodów, ogromna nauka komunikacji. Mam wrażenie, że przeżyliśmy w tym procesie ze sobą znacznie więcej niż tylko niecały rok tworzenia albumu.

Na okładce „Melanżu” znalazł się fragment wielkiego, dwumetrowego obrazu, który wisiał u Was w domu. Co sprawiło, że właśnie ten obraz chciałaś przenieść z tak prywatnej, domowej przestrzeni na okładkę swojego debiutu?

Obraz powstawał równolegle do albumu i była to inwencja mojego chłopaka, który był naocznym świadkiem tego wszystkiego, co się wtedy działo. Jarek też przyjaźni się z Radkiem, producentem albumu, i zawsze był pierwszym recenzentem każdego utworu, więc wszystko, co powstało, od razu przechodziło przez jego głowę. Ja tylko na samym początku narzuciłam to, że ma to być obraz, na którym będzie przedstawiony cały ten proces, wszystkie te sceny i historie, które się wydarzały.

Co ostatnio najbardziej Cię inspiruje poza muzyką? Jest coś, co wpływa na Twoją twórczość?

Mój wpływ na środowisko, które mnie otacza, i wpływ środowiska na mnie. Świadomość tego, jaką mam moc i jak świat wokół mnie ją kreuje. Na maksa inspirują mnie mechanizmy działania nie tylko u ludzi, ale również u pozostałych zwierząt. No i to w sumie jest takim głównym napędem mojej twórczości.



„Jestem z natury buntowniczką, więc nie potrafiłabym płynąć z prądem”

Twoje korzenie sięgają alternatywy, ale wspomniałaś, że coraz bardziej ciągnie Cię w stronę mocniejszego, bardziej rozbudowanego brzmienia i zapowiadałaś, że na kolejnym albumie będzie „grubiej”. Co dokładnie masz na myśli? Chodzi bardziej o brzmienie, produkcję, teksty, czy może o cały świat wizualny i sposób, w jaki chcesz funkcjonować jako artystka?

Chyba miałam na myśli właśnie te zmiany, które zachodzą. Teraz widzę je znacznie wyraźniej, mega mnie to jara i, nauczona doświadczeniem, wiem, że będę kopać coraz głębiej. W moich nowych utworach na pewno będę chciała pobawić się moją perspektywą widzenia pewnych rzeczy. Brzmieniowo pewnie też będziemy coś kombinować. Planuję również zrobić film do nowego materiału, ale jeszcze nie wiadomo, jak to się ułoży i czy uda się to zrobić tak, jakbym tego chciała.

Masz wrażenie, że w polskiej muzyce jest dziś przestrzeń na artystów, którzy nie chcą zamykać się w jednym gatunku? Jak sama odnajdujesz się w tym przenikaniu różnych stylistyk?

Przestrzeń była i zawsze będzie, ale prościej jest coś ugrać, będąc łatwiejszym do zaszufladkowania. Dla mnie zmiana jest czymś naturalnym, a wszelki constans mnie nudzi. Wiadomo, że będąc w niszy, w której jestem, trudniej ufać sobie i ciągle tak samo wierzyć w słuszność tego, co się robi. Ale ja chyba jestem z natury buntowniczką, więc nie potrafiłabym płynąć z prądem, bo nie znalazłabym w tym tego drive’u, który pociąga mnie

w życiu. Ludzie powinni się ciągle rozwijać i uczyć, a ja dosyć szybko łapię nowe rzeczy, więc muszę szukać nowych wyzwań, żeby móc odczuwać satysfakcję.

Twój album ukazał się w U Know Me Records, a Ty jesteś pierwszą kobietą, która została wydała w tej kultowej wytwórni. Jak w ogóle doszło do Waszej współpracy? Czy trafiając tam, poczułaś swego rodzaju nobilitację artystyczną?

Byłam kiedyś uczestniczką konferencji *Tak Brzmi Miasto w Krakowie* i tam były takie speed dates, podczas których poznałam Groha, właściciela JuNouMi. Grohu wtedy zaproponował, żebyśmy zrobili coś z TVB. My z Tomkiem jeszcze się wtedy nie znaliśmy, ale dokładnie w dniu, w którym napisałam do Tomka, on usłyszał mój track w radiu i również się mną zajarał. Kilka miesięcy później powstał nasz pierwszy kawałek „Tonic”, a następnie epka „BAR” wydana w YouKnowMe Records.

No i tak jakoś znajomość z Grohem zaczęła się rozwijać. Potem jeszcze był singiel z Tropiki, więc działałam już w wytwórni, ale raczej przy kolaboracjach z producentami. No i przyszedł moment, w którym to ja wyszłam z inicjatywą wydania albumu u Groha. Temat się spodobał i wyszedł „Melanż”. Co więcej, wydałam długogrający album jako pierwsza kobieta, więc tym bardziej była to ogromna nobilitacja. Chyba nie czułam jakiejś wielkiej presji związanej z tym, że to się dzieje akurat w JuNouMi. Starałam się dowiedzieć wszystko na maksa tak, żeby przede wszystkim zadowolić siebie. Co nie zmienia faktu, że czuję się zajębiście, mogąc wydawać swoją muzykę u Groha.

Okres letni to czas festiwali, zwłaszcza tych hip-hopowych. Ty natomiast pojawiłaś się na Audioriver w Łodzi, czyli imprezie mocno elektronicznej. Spore zaskoczenie. Jak wspominaś występ i wrażenia z AR?

To było szalone, bo było nas troje MC: ja, Jakub Jan Bryndal i Cheeba. O ile z Kubą Bryndalem znaliśmy się już wcześniej, ze sceny i poza nią, o tyle z Cheebą był to nasz pierwszy wspólny przelot. Trzy różne osobowości muzyczne na jednej scenie, Tomek TVB jako nasz mistrz ceremonii.



Było to wielkie wyzwanie i trochę stresu przed tym, czy zdołamy połapać się na scenie i czy to finalnie się obroni. Ogólnie wszystko wyszło bardzo dobrze. Każdy się odnalazł, potrafiliśmy się uzupełniać i zawładnąć swoją częścią publiki. Jednak nie był to nasz pierwszy Audioriver, bo rok wcześniej występowaliśmy już z Bryndalem i TVB, więc cały concept festiwalu był nam poniekąd znany. Z elektroniką miałam epizody w swoim życiu, więc nie jest to gatunek jakoś szczególnie odległy. Plus byliśmy w takiej ekipie, że trudno było nie przeżyć tam razem super czasu.

Romansujesz z innymi gatunkami, ale czy odnajdujesz się właśnie w takich klimatach? Jest Ci blisko do brzmień również klubowych? Czego w ogóle słuchasz na co dzień?

Elektronika jest teraz tym gatunkiem, w którym chciałabym się rozwijać. Może dlatego, że aktualnie słucham jej najmniej. Widzę u siebie pewne braki i przestrzenie, nad którymi powinnam mocniej popracować, i to właśnie mnie teraz ekscytuje.

Słucham przede wszystkim soulu, bo od dziecka jest to gatunek, który najbardziej mnie porusza. Oczywiście sporo hip-hopu, jazzu i wszelkich wariacji, które nawet nie wiem, jak się nazywają, bo jestem mega słaba w gatunki. A tak poza muzyką najwięcej słucham wywiadów, audiobooków i podcastów o rozmaitej tematyce. Ostatnio była to książka „Śmierć pięknych saren” – w wielkim skrócie o łowieniu ryb – a dzisiaj podcast z Tomaszem Czukiewiczem, właścicielem kanału „Ciekawe Historie”.



Muzyka, gwara i życie poza algorytmem

Marianne z Poznania

Rozmawiała: Zofia Myślicka

Zdjęcia: Kamil Lanek

**„Kejtry”, „bimby” oraz „tej no dundle ci z klu-
ka lecą” – poznańska gwara w wykonaniu Ma-
rienne podbija media społecznościowe. Sama
przyznaje jednak, że pomysł na nagrywanie ta-
kich materiałów pojawił się zupełnie natural-
nie. Dopiero po przeprowadzce do Warszawy
zauważyła, jak bardzo język, którym posługi-
wała się na co dzień, różni się od tego, którym
mówią mieszkańcy innych części Polski.**

**Choć jej gwarowe rolki zdobywają coraz
większą popularność, Marienne podkreśla,
że traktuje je przede wszystkim jako dodatek
do tego, co jest dla niej najważniejsze – mu-
zyki. Najnowsza „Milionerka” jest dla niej
czymś więcej niż kolejnym numerem. To opo-
wieść o wewnętrznym bogactwie, szacunku do
własnego czasu i życia na własnych zasadach.
W rozmowie opowiada o poznańskiej gwarze,
muzycznej przemianie, presji związanej z po-
pularnością i o tym, dlaczego dziś definiuje
siebie po prostu jako artystkę.**

**Twoje rolki z poznańską gwarą robią w sieci duże liczby. Skąd
w ogóle zajawka na wyciąganie tych wszystkich „kejtrów”
i „bimb” na światło dzienne?**

Wyprowadziłam się z Poznania do Warszawy i zauważy-
łam, że wiara mnie nie rozumie. (śmiech) Wcześniej nie odczu-

wałam tego aż tak, że mówimy inaczej, to wydawało się nor-
malne, że zaklucza się drzwi albo mówi z konkretną intonacją.

**Masz poczucie, że dzięki tym filmom osoby spoza Poznania
zaczęły trochę lepiej rozumieć nasze lokalne słownictwo, czy
raczej traktujesz to jako czystą rozrywkę?**

Tak, dostałam sporo wiadomości od osób z innych miast,
bądź takich, którzy przeprowadzili się do Poznania i uczą się
z moich filmików. Sporo osób z innych miast również komen-
tuje moje filmy, np. ze Śląska.

**Jest jakieś poznańskie słowo albo powiedzenie, które szcze-
gólnie lubisz i którego Twoim zdaniem absolutnie nie powin-
no się pozwolić zapomnieć?**

Wiesz, ja lubię całokształt Poznaniaka – ton, grymas, me-
lodyjne gadanie, oszczędność. (śmiech) Myślę, że jesteśmy tacy
na luzie, oczywiście, nie każdy, ale mam wrażenie, że niektórzy
na siłę próbują być, jak ja to mówię, „warszawscy”, a gwarę na-
leży kultywować i szanować, nie zapominać o niej. Na pewno
uwielbiam – „churchlać”, „zrobić wyro” oraz wyrażenie „tej no
dundle ci z kluca lecą”.

**Widać, że w Twoich filmach jest dużo spontaniczności i hu-
moru. Jak w ogóle wpadasz na pomysły na kolejne odcin-
ki? Inspirują Cię sytuacje z życia codziennego, komentarze,
a może sami Poznaniacy?**

Raczej jest to spontaniczne. Nie robię tych filmików na siłę,
bo jednak traktuję je jako dodatek do mojej muzyki. To głównie
na tym się skupiam. Inspirują mnie różne historie. Dużo gwa-
ry używał też mój dziadek. Dopiero teraz to dostrzegam. Moja
przyjaciółka, np. jest typową Poznanianką z Dębca. Jak gada,
to od razu słychać, że z Poznania. Więc czerpię z różnych źró-
deł. Lubię też czytać słownik gwary poznańskiej, który dosta-
łam w prezencie od taty.

**„Milionerka” to Twój najnowszy numer. Jest w nim coś, co
szczególnie dobrze oddaje to, w jakim miejscu jesteś dzisiaj
jako artystka?**



„Mindset milionerki to
wewnętrzne bogactwo.
Bycie milionerem nie
oznacza stanu konta, tylko
to, czy szanujesz swój czas”

Mindset milionerki to wewnętrzne bogactwo. Bycie milionerem nie oznacza stanu konta, tylko to, czy szanujesz swój czas. A ja nauczyłam się go szanować, żyć tak, jak chcę, inaczej niż narzuca to społeczeństwo. Wcześniej tego nie dostrzegałam.

Muzyka i rap są sporą częścią Twojej drogi, ale dziś równie mocno kojarzysz się z Internetem. Jak wygląda teraz u Ciebie balans między tworzeniem muzyki, pracą nad nowymi numerami a tworzeniem contentu?

Tak jak wspominałam, content jest dla mnie hobbistyczny. Robię go, bo lubię. Odrzucam większość współprac, bo nie chcę promować rzeczy, z którymi się nie utożsamiam, bądź których sama nie używam. Chcę być szczerą z moimi odbiorcami. Generalnie nauczyłam się i nadal uczę się żyć dla przyjemności. Gdy wydaję piosenkę, kręcę teledysk, to czuję tak ogromne szczęście i myślę: tak, to jest to, co chcę robić. Choć nie ukrywam, wpadłam jakiś czas temu w pułapkę kręcenia rolek: czułam, że o matko, muszę wydać nową rolę, muszę znowu coś wymyślić. Zaczęło mnie to stresować, więc odpuściłam i już mam luz.

Przez lata Twoja muzyka przechodziła między rapem, popem a bardziej wokalnymi numerami. Dzisiaj sama określiłabyś się przede wszystkim jako wokalistka, raperka, artystka, a może nie potrzebujesz już jednej etykiety?

Ja definiuję siebie jako artystkę, osobę, która tworzy sztukę, różną sztukę.

Od Twoich wcześniejszych rapowych numerów minęło już trochę czasu. Jak sama dzisiaj patrzysz na tę drogę muzyczną? Czujesz, że obecnie jesteś w zupełnie innym miejscu jako artystka?

Tak, czuję, że dojrzałam, że ta Marianna jest zupełnie inna, bardziej świadoma, zwraca uwagę na zupełnie inne rzeczy. Moje życie zmieniło się w sekundę, gdy straciłam bliską mi osobę, i od tamtego czasu nauczyłam się i nadal uczę się żyć na nowo. Więc moja muzyka też się zmienia. Nie zamykam się w jednym stylu czy gatunku. Robię to, co czuję. Jestem różnorodna.



Dzisiaj fragment piosenki może zacząć żyć w Internecie jeszcze zanim ukaże się cały numer. Jak Ty podchodzisz do tego, że social media są właściwie częścią procesu wydawania muzyki?

Tak, teraz nieważna jest jakość, byle co może być virałem, tym bardziej, jak jest jeszcze pompowane przez dużą wytwórnię. Dzieci słuchają teraz tego, co modne, a nie tego, co dobre. Ale uważam, że dobre dzieło się zawsze obroni.

Znajdujesz się teraz w sytuacji, w której viralowe mogą być zarówno Twoje filmy z gwarą, jak i materiały związane z muzyką. Czy czujesz czasem presję algorytmów, żeby wszystko, co robisz, nawet numery, musiało być natychmiastowym virałem?

Jak nie masz viralu, to giniesz pośród miliona użytkowników. Teraz każdy nagle chce być widoczny w Internecie. Natomiast ja mam swoje grono odbiorców, którzy są np. ze mną od czasów „Nara nara”. Robię to dla przyjemności. Nie skupiam się na tym, żeby było popularne, a i tak przychodzi to samo z siebie.

Gdybyś miała połączyć wszystkie swoje obecne zajawki: muzykę, Poznań, gwarę i Internet, to co chciałabyś, żeby za jakiś czas było najbardziej kojarzone właśnie z Marianne?

Marianne to muzyka przede wszystkim i z tym chcę być kojarzona, ale no, Marianne jest z Poznania, pamiętajmy!

Z kapuśniakiem przez świat

Adi Kaniewski pomaga po swojemu

Tekst: Michał Krupski

Zaczął się od 400 dolarów dla kenijskiego przewodnika. Potem były zeszyty, kredki, stypendia, telefon dla dzieci z wysypiska, okna dla sierocińca i dziesiątki ludzi, którzy dorzucali po kilkadziesiąt złotych. Teraz z tych spontanicznych akcji ma powstać fundacja YoYo Lemon.



Zdjęcia z archiwum Adiego

Adi Kaniewski to postać dobrze znana poznańskiemu środowisku muzycznemu i koncertowemu. Przez lata organizował alternatywne koncerty, pracował za barem w wielu lokalach. Sprowadzał do Poznania zespoły z Polski i zagranicy, tworząc miejsca, w których muzyka była przede wszystkim pretekstem do spotkania.

Dziś jego życie wygląda zupełnie inaczej. Zamiast kolejnych koncertów jeździ po Polsce z kraftowymi piwami, promując i lejąc je podczas festiwali piwnych i innych wydarzeń gdzie leje się dobre piwo. A kiedy sezon się kończy, rusza w świat.

„Siemano, tej, siedzę w Kenii. Tu jest szkoła podstawowa, dość biedna. Może zrzucimy się i pomożemy im?” – proponuje Adi

Tak zaczynało się wiele jego akcji. Bez konferencji prasowych, strategii, grantów i wielkich słów. Adi pisał do znajomych, że gdzieś jest konkretna potrzeba, a oni odpowiadali: dobra, robimy.

Najczęściej po 50 albo 100 złotych. Czasem ktoś wpłacał 500 czy 800. Pieniądze jechały razem z Adim tam, gdzie akurat zaprowadziła go podróż. A potem zamieniały się w rzeczy, które trudno pomylić z abstrakcyjną pomocą: 300 zeszytów, kredki, jedzenie, stypendia, telefon, okna.

„Zaczęło się z nudów i przez przypadek!” – mówi.

Dzisiaj trudno już nazwać to przypadkiem.

400 dolarów i początek całej historii

Podczas ostatniej wielomiesięcznej podróży Adi trafił do Kenii. Kolega napisał do niego, że kiedyś poznał tam świetnego przewodnika – Kevina. Jeśli uda się go odnaleźć, chciał przekazać mu 400 dolarów. Okazało się, że Kevin mieszka kilka kilometrów od hotelu Adiego.

„Zbadaliśmy się i pojechałem do niego, wybraliśmy się na zakupy i tak to się zaczęło”.

Potem Adi zaczął pytać swoich ludzi.

„Siemano, tej, siedzę w Kenii, tu jest szkoła podstawowa, dość biedna. Może zrzucimy się i pomożemy im?” – napisał.

Zrzuciło się ponad 40 osób.



W Mombasie dzieci dostały 300 zeszytów z naklejką Polska-Kenia w kształcie serca, kredki, temperówki, kredę i... kapuśniak.

„Było spoko, choć po akcji dostaliśmy od szkoły rachunek za między innymi wypożyczenie garnka. Ale winny jest system, nie ludzie” – przekonuje.

Kilkadziesiąt osób dorzuciło pieniądze, a człowiek będący na miejscu zrobił zakupy i dopilnował, żeby pomoc faktycznie dotarła. To właśnie stało się znakiem rozpoznawczym działań Adiego.

Nie wysyła pieniędzy. Jedzie i sprawdza

Podczas tej samej podróży trafił do Dandora Dumsite Kids w Nairobi. Dandora to ogromne wysypisko śmieci, wokół którego funkcjonują slumsy. Dzieci próbują wyrwać się z miejsca, w którym dorastają.

„Wspaniałe dzieciaki, biedne, ale z pomysłem na siebie. Tańczyliśmy tam polskie tańce ludowe” – wspomina Adi.



Adi zapytał, czego potrzebują. „Podpaski – powiedział kierownik”.

Ostatecznie kupiono telefon. Nie do zabawy, ale do pracy. Dzieci wykorzystują go jako kamerę, bo chcą tworzyć materiały i dzięki temu szukać dla siebie innej przyszłości.

W Kambodży Adi trafił do New Idea Language School – małej szkoły językowej, w której uczą się dzieci od sześciu do dwunastu lat. Sfinansował dwa roczne stypendia z angielskiego.

„Założyciel szkoły zabrał mnie na wioskę, gdzie miałem wytypować dwa szkraby z wielu. Stresująca sytuacja. Ktoś się poryczał, inni się bali, ale podczas przemowy uderzyłem w super niski strop i to rozładowało sytuację” – mówi Adi.

Dzieci uczą się do dziś.

W Wietnamie planował z kolei pomóc kobiecie po amputacji, dla której potrzebna była zrobotyzowana ręka. Odwiedził fabrykę, przygotował materiał wideo i wtedy... ukradziono mu telefon.

„Bez dostępu do konta nie było opcji sprawdzić, ile pieniędzy wpłynęło, a koszt robo-ręki to 2000 dolarów. To mnie przebole”.

Nie odpuścił jednak pomagania. Znalazł sierociniec dla opuszczonych, niepełnosprawnych dzieci.

„Mocne przeżycie. Nie będę się wdawać w szczegóły, ale udało się kupić im okna i 30 procent stawu rybnego. Mam nawet fakturę!”.

Najważniejsi są ci, którzy wpłacają

Adi bardzo nie lubi opowieści, w których pomagający staje się głównym bohaterem. Dlatego za każdym razem podkreśla, że za jego akcjami stoi grupa ludzi.

„Zawsze to jesteśmy MY! Czyli ludzie, którzy pomagają. To ja daję pomysł, ale gdyby nie ich ciężka praca i świeże serce, nic by nie było” – mówi.

To ludzie mieszkający w Polsce, Anglii, Norwegii i innych miejscach. Czasem wpłacają kilkadziesiąt złotych, czasem znacznie więcej.

„Na naszej grupie często piszą: brawo Adi. A ja im piszę to samo, co tutaj. Doszło do tego, że jak ktoś kogo pochwali z imienia, to musi stać na jednej nodze przez pięć minut!” – przytacza anegdotkę Adi.

Za tym żartem stoi jednak bardzo konkretna zasada.

„Sukces akcji zawsze i podkreślam to bardzo, zależy od tych, którzy w pocie czoła zarabiają w kochanej Polsce, Anglii, Norwegii i łapią ideę. Za co im dziękuję, bo dzięki ich hojności mogę robić to, co lubię” – dodaje.

Powstaje fundacja YoYo Lemon

Adi podkreśla, że zawsze rozlicza się co do złotówki. Jednym z powodów, dla których jego akcje zaczęły działać, jest jak twierdzi – pełna przejrzystość.

Wcześniej wszystko odbywało się spontanicznie. Adi prowadził rozliczenia w zeszycie, cel wybierał często przypadkiem, a pieniądze zbierał wśród znajomych. Teraz chce to uporządkować.

„Poprzednie akcje robione były zupełnie spontanicznie. Tam, gdzie byłem, pisałem do swoich i oni łapali ideę. Rozliczałem się w zeszycie, a cele wybierałem chaotycznie, ale zawsze z jedną myślą przewodnią – całe siano trafia do potrzebujących” – opowiada.

Fundacja ma dać tym działaniom formalne ramy i pozwolić działać szerzej. Jednym z pomysłów jest współpraca z Kenią. Kenijskie sierocińce miałyby przygotowywać zabawki dla

polskich sierot, a w zamian otrzymywać rzeczy, których potrzebują.

„Pomysł polega na tym, aby kenijskie sierocińce zrobiły zabawki dla polskich sierot, a my im przekazemy to, czego potrzebują. Taki barter” – rzucił propozycją.

Fundacja jest jeszcze w procesie rejestracji.

„Proces zakładania fundacji przypomina kolonoskopię bez poślizgu. Procedury są, jakie są i czekam na KRS, żeby mieć konto połączone z fundacją. Wtedy mogę zacząć zbierać z pełną mocą i w majestacie prawa!” – dodaje.

Podróż jako sposób na pomaganie

Pomoc jest dziś częścią podróży Adiego, ale sama podróż nadal pozostaje dla niego ważna. Od kilku lat na pół roku opuszcza Polskę, najczęściej uciekając przed późną jesienią i zimą.

Ostatnio był w Egipcie, Kenii, Kambodży, Tajlandii i Wietnamie. Wcześniej spędził sporo czasu w Indiach. Nie podróżuje jednak po to, żeby zaliczać kolejne zabytki.

„Głównie chodzi o to, aby nie łązić po zabytkach, bo to jest nuda. Kiedy widzę kupę kamieni i kasę biletową przed, to mi się nie chce” – mówi Adi.

Woli zostać gdzieś dłużej, pracować, poznawać ludzi. Na Goa pracował w ośrodku jogi. W Kambodży był kelnerem w polskiej knajpie na wyspie Koh Rong.

„Dostałem za to zero pieniędzy, domek na końcu wyspy, skuter i papu. Piękny dil” – cieszy się Adi.

To właśnie taki sposób podróżowania sprawia, że Adi trafia w miejsca, do których zwykły turysta prawdopodobnie nigdy by nie dotarł. I dlatego pomoc często zaczyna się od zwykłej rozmowy.

Alternatywne koncerty się skończyły

Zanim pojawiły się podróże i akcje pomocowe, przez lata jego naturalnym środowiskiem były poznańskie kluby, koncerty i alternatywna scena. To jednak nie skończyło się jednym wydarzeniem. Raczej powoli się wypaliło.

Zmęczenie przyszło również z samej intensywności.

„Może to przez intensywność, a może przez zmęczenie materiału, ale w pewnym momencie wszystko zaczęło się zlewać w bezkształtną masę, z której niewiele wynika”. – Ciężko mi też zaakceptować rytm i podejście niektórych instytucji.” – mówi.

Do tego doszła codzienność organizatora koncertów.

„Poza tym miałem dość spania w knajpie i jedzenia zimnych pierogów z Żabki” – śmieje się.

Adi wyprowadził się poniekąd z Poznania i zmienił sposób życia. Dziś, zamiast organizować kolejne koncerty, od maja do września niemal każdy weekend spędza w innym mieście, pracując przy promocji piw kraftowych.

„Inni ludzie, inna energia. Wszędzie dobrze, ale nie u siebie najlepiej!” – przekonuje.

Koncerty zeszły z pierwszego planu. Ich miejsce zajęło coś, co przynajmniej na razie daje mu znacznie więcej energii – pomaganie.

Nie zbawia świata

Adi nie chce być ekspertem od pomocy humanitarnej.

„Jestem amatorem w temacie, nie oglądam materiałów o innych fundacjach, robię jak uważam i wychodzi” – wspomina.

Były też głosy krytyczne. Ktoś zarzucił mu „kompleks białego zbawcy”. Adi odpowiedział pytaniem, czy krytykujący chciałby w takim razie pomóc.

„Kiedy zapytałem typa, czy pomoże, to nastała cisza” – mówi.

Nie traktuje tego jednak jako wojny ideologicznej. Jego odpowiedzią jest działanie.

Tak jak w historii ze słodkowodną rybą, którą kupił na egipskim targu, chcąc ją wypuścić do morza. Ryba oczywiście nie przeżyła.

„Też się oburzyli, jedna napisała, że mnie zgłosi. Kiedy napisałem do niej, że była to pomyłka i jak chce, to możemy razem uratować z targu żółwia, nastała cisza. Szkoda ryby...” – dodaje anegdotkę.



Jest w tym trochę chaosu, sporo improwizacji, czasem błąd, czasem śmiech, ale przede wszystkim chęć zrobienia czegoś konkretnego.

Następny przystanek

Niebawem Sri Lanka. Adi jedzie tam na dwa miesiące, żeby pomóc znajomej prowadzącej hotel. Na miejscu chce także pracować z dziećmi przy szachach i nauce angielskiego. Potem Goa, gdzie spotka się z poznańskim zespołem Surtarang. Ma tam również osobisty rachunek do wyrównania. Podczas poprzedniego pobytu w Indiach ciężko zachorował i spędził dwa tygodnie w szpitalu. Codziennie odwiedzała go poznana na miejscu Trisha i przynosiła mu jedzenie.

„Czas spłacić dług!” – cieszy się założyciel fundacji.

Co później?

„Pomidor!” – dodaje. Może Kambodża, może Laos. Nie wiadomo.

I chyba właśnie dlatego trudno nazwać YoYo Lemon klasyczną fundacją. Jej przyszłość będzie prawdopodobnie wyglądała podobnie jak dotychczasowe akcje Adiego: ktoś zadzwoni, ktoś napisze, gdzieś pojawi się człowiek potrzebujący pomocy, a ktoś inny powie: dobra, to co możemy zrobić?

„Zdaję sobie sprawę, że 1000 zł to nie jest nie wiadomo co, ale jest. W Azji czy Afryce 300 dolarów to suma nie w kij dmuchał” – przekonuje.

Nie twierdzi, że zmieni komuś życie.

Na koniec dodaje – „Ale widok kenijskich szkrabów wcinających kapuśniak, wietnamskie sieroty śpiewające „I love you” czy kambodżańskie dzieci uciekające przed białą małpą – bezcenne”.

Może więc właśnie o to chodzi. Nie o zbawianie świata. Nie o wielkie deklaracje. Tylko o to, żeby będąc w konkretnym miejscu, zobaczyć konkretnego człowieka i spróbować zrobić coś dobrego. A potem pojechać dalej.

„Ważne, aby pomoc była kreatywna”.

YoYo Lemon dopiero powstaje. Ale pierwsze rozdziały jej historii zostały już napisane – w Kenii, Kambodży, Wietnamie, Indiach i przez ludzi, którzy z Poznania, Londynu czy Oslo dorzucali do nich swoje 50 złotych.



„Najjaśniejsze z ciemnych i najciemniejsze z jasnych”

Le'sia

Rozmawiał: Dawid Balcerek

Zdjęcie: Mery Wilczyńska

fot. Mery Wilczyńska

Poznały się dwa lata temu podczas jednej z imprez w poznańskim klubie Schron. To właśnie wtedy inna koleżanka po fachu, Grażyna Biedroń, połączyła je za deckami. Dla Marty i Kasi był to przełomowy moment, bo od tamtej pory stały się nierozłączne. Wspólnie stworzyły projekt Le'sia, którego nazwa nawiązuje do ich scenicznych pseudonimów: Lewej i Krystyny. Od tego czasu regularnie pojawiają się w klubach i na festiwalach w całej Polsce, serwując publiczności energetyczne sety pełne indie dance, tech house'u, minimalu i progressive house'u.

Le'sia, czyli Lewa i Krysia. Skąd pomysł na połączenie sił i stworzenie wspólnego projektu?

Lewa: Pomysł tak naprawdę zrodził się z przypadku. Ówczesna bookerka Schronu, Grażyna Biedroń, ustawiła nas na b2b na jednej randomowej imprezie. Kojarzyliśmy się już wcześniej ze środowiska.

Krysia: Ja tak naprawdę wychowałam się na setach Lewej i imprezach organizowanych przez kolektywy, które współtworzyła. Później weszłam jeszcze głębiej w ten świat, najpierw pracując w Schronie, a potem już sama grając.

L: Z Krysią przecinałam się właśnie w Schronie i na festiwalach, ale pamiętam, że zawsze podobało mi się, jaką muzykę wrzucała. Myślałam sobie: „O, słuchamy podobnie”. Napisała mi kiedyś też bardzo fajną wiadomość po moim wywiadzie w audycji Kemot b2b Łęcki. Napisała, że wszystko, co tam mówiłam, bardzo z nią rezonuje, a wybór traków też jej mocno przypasował.

K: Na pierwszym graniu tak nam siadło, co wcale nie jest takie oczywiste, że poczułyśmy, że to coś więcej niż jednorazowe b2b.

L: Po powrocie do solowego grania, po około roku, znowu dostałam tego ekscytującego wiatru w żagle i uświadomiłam sobie, że b2b to moja ulubiona formuła. Granie samej nie daje

mi takiej satysfakcji. Klejąca się selekcja i energia dwóch osób to moje ulubione połączenie. Moja psycholożka w ogóle trochę „wywróżyła” mi Krysię. Po odejściu z poprzedniego duetu i po urodzeniu dziecka miałam spadek zajawy do grania solo. Powiedziała wtedy: „Najlepiej byłoby, gdybyś znalazła sobie jakąś dziewczynę o podobnej energii, może na początku swojej drogi. Ona da ci świeżość, a ty pomożesz jej swoim doświadczeniem”. Wszystko przyszło do mnie w swoim czasie. (śmiech)

K: Nie miałam wtedy dużego doświadczenia z b2b. Grałam dopiero od pół roku, ale totalnie poczułam magię takiego grania. Byłam w szoku, że można czuć aż taką podjarkę, grając z kimś. Od razu postanowiłyśmy spotkać się ponownie i nagrać seta konkursowego na LAS, nie mając jeszcze nawet w planach tworzenia duetu.

Lewa ma za sobą kilka lat w Sassafras Tree i doświadczenie we współpracy b2b. Krysiu, jak ci się gra w duecie? To zawsze kompromisy i czasami walka o własne zdanie. Jak to u was wygląda?

K: Mając dzisiejsze doświadczenie, doskonale wiem, ile kompromisów wymaga formuła b2b. Z Lewą nigdy tego nie czułam i nadal nie czuję. Nasza selekcja jest tak spójna, że każde granie to ten wyczekany moment, kiedy możemy pokazać

sobie nową muzę, razem się nią jarać i wspólnie bawić. Myślę, że wpływa na to też fakt, że mamy bardzo podobną wrażliwość emocjonalną i dobrze wyczuwamy, jak każda z nas się czuje. Nie mamy totalnie potrzeby ciągnięcia wszystkiego na swoją stronę. Chcemy przede wszystkim wspólnie zbudować seta. Najfajniejsze jest jednak to, że nawet o tym nie myślimy, tylko po prostu płyniemy.

L: Ja tylko dodam od siebie, że od początku jest między nami stuprocentowe zaufanie. Nie ma tekstów typu: „Nie wiem, czy ten kawałek siądzie” albo „Czy nie zepsuje klimatu?”, tylko raczej: „Dawaj, zobaczymy, co się wydarzy”. Dzięki temu nie raz odkrywałyśmy gatunki, które łączą się ze sobą w wyjątkowy sposób, choć nie zawsze jest to oczywiste. Nasze sety potrafią być jednocześnie najjaśniejsze z ciemnych i najciemniejsze z jasnych. Kocham ten brak szablonu i element zaskoczenia. Nasze ADHD jest zadowolone. (śmiech)

Jaki aktualnie gracie rodzaj muzyki? Jakie klimaty przeważają w waszych setach?

Jeśli chodzi o gatunki, to indie dance, tech house, minimal i progressive. Lubimy pokombinować i stworzyć z tego coś swojego.

Na przestrzeni ostatnich dwóch lat powstało kilka damskich duetów w Poznaniu. Co was wyróżnia na tle innych kolektywów?

Myślimy, że sam fakt bycia damskim duetem nie ma aż takiego znaczenia. Natomiast to, że obie mamy kobiecą wrażliwość i emocjonalność, sprawia, że świetnie się razem czujemy, wspieramy się i przyjaźnimy. To po prostu widać. Przez to nasze samopoczucie i to, co odbieramy z parkietu w danym momencie, bardzo mocno wpływa na nasze granie i od razu słysząc to w muzyce. To nasza największa siła, ale momentami też największa zmora. To, że jesteśmy razem zarówno w swoich prime momentach, jak i wtedy, kiedy przychodzą małe czy większe kryzysy, wraca do nas w postaci wsparcia i wzajemnego wyciągania się na scenie. Wtedy wpadają szybkie żarty do ucha, teksty typu „dobry traczek” albo „świetne przejście”,



czy po prostu bardziej żywiołowy taniec za konsolą. (śmiech) To jeszcze bardziej umacnia nas jako duet i jednocześnie buduje przyjaźń.

Lewa, w życiu prywatnym jesteś również matką. Jak łączysz życie klubowe z macierzyństwem?

L: Chyba jestem dość niestandardowa, bo zawsze się śmieję, że tak samo kocham moje „fit matcha mommy life”, jak i zadmione kluby do rana oraz kilkudniowe festiwale, gdzie mogę trochę odpiąć wrotki. Przestałam już udawać, że jestem tylko jedną z tych wersji siebie. To było bardzo uwalniające, kiedy to zrozumiałam. Dzisiaj nie wstydzę się powiedzieć w przedszkolu, że mój pies ma na imię After, a moje dziecko było na weekend u dziadków, bo ja grałam o piątą rano na drugim końcu Polski dla grupy dorosłych ubranych w stroje jednorożców. (śmiech)

Na backstage'ach też zdarza mi się pokazywać zdjęcia dziecka, więc to działa w dwie strony. (śmiech) Dzielę też weekendy

opieki z byłym partnerem i nie boję się prosić dziadków o pomoc. Jestem mistrzynią planowania, więc jeśli naprawdę mi na czymś zależy, zwykle znajduję rozwiązanie. Oczywiście równie ważne jest nauczyć się odmawiać. Nie trzeba być wszędzie, a Luna zawsze będzie moim priorytetem.

Ostatnio w przestrzeni klubowej trwa dyskusja, czy dziś łatwiej jest zrobić karierę dzięki mediom społecznościowym. Jakie jest wasze zdanie?

L: Media społecznościowe są nieodłącznym elementem tej gry, czy tego chcemy, czy nie. Rozumiemy to i staramy się robić to po swojemu, ale konsekwentnie. Mówi się o tym otwarciu w środowisku, że jest to konkretna wartość na rynku. Uważamy jednak, że jeśli ktoś ma duże social media, ale nie stoi za tym dobra muza i jakość, to długo nie przetrwa. Jeżeli ktoś konsekwentnie czyści parkiet i nie ma w tym prawdziwej zajawy, to prędzej czy później wyjdzie i nikt nie będzie chciał bookować takiego farbowanego lisa.

Poznań ostatnio zrobił się mocno techniczny, jeśli chodzi o scenę klubową. Jak oceniacie ten trend?

K: A my widzimy, że coraz więcej ludzi wraca do zabawy przy lepszych brzmieniach.

L: Przecież większość z nas świetnie bawi się na house'owych scenach Garbicza, Summer Contrast czy Mystic Creatures. Ludzie lubią jednak dostawać coś więcej. Dobrym przykładem jest cykl, który współtworzy Krysia, „Gaya x Tansy”, gdzie są zagraniczne bookingi, świetnie dobrani lokalni artyści, przepiękne dekoracje, światła i dobrze poprowadzona promocja wydarzenia.

Tama też zrobiła duży krok, otwierając Slow. W czasie największej mody na hard techno trudno było uwierzyć, że znajdzie się tam miejsce dla fanów lepszych brzmień. Mój House od dziewięciu lat świetnie radzi sobie z taką muzyką. Rewiry czy Nurt latem również. Ogólnie cały clubbing przechodzi dziś kryzys, bo kolejne pokolenia nie wychodzą już tak licznie jak kiedyś. Z drugiej strony mówi się, że nowym wellness stanie się właśnie wychodzenie do klubów offline, więc warto być dobrej myśli.

Czy poznańska scena zjada już swój własny ogon?

L: Wolimy myśleć o tym tak, że odrabia swoją lekcję.

Październik za rogiem. Macie jakieś plany związane z cyklem „Rodeo House”?

L: Tak, zapraszamy na nasz cykl „Rodeo House”. Warto śledzić social media House Szkolna i sprawdzać daty wydarzeń. Szykuje się tego trochę, zarówno w Poznaniu, jak i w innych miastach, więc po licznych plenerach nie możemy się doczekać powrotu do klubowych zakamarków.

Lato za nami. Jak wspominacie występy na festiwalach?

K: Obie jesteśmy festiwalowymi zwierzakami i od wielu lat właśnie tak spędzamy wakacje. Czekamy na to cały rok. Możliwość grania na festiwalach, na których jednocześnie bawimy się do setów naszych ulubionych artystów oraz koleżanek i kolegów z branży, daje nam ogromną radość i wdzięczność. Trudno wskazać jeden ulubiony festiwal, bo każdy ma swoją magię.

Summer Contrast to dla Lewej trzynaście lat regularnych wizyt i grania. Dla mnie to również wiele lat jako festiwalowiczki i dwa lata grania na ukochanych scenach. To trochę jak wielki rodzinny zlot. Lubimy się z organizatorami i spędzamy razem czas także poza festiwalem.

L: Wisłoujście było kolejnym spełnionym marzeniem. Telefon dwa tygodnie przed wydarzeniem wywołał u nas sporą euforię. Organizacja była wspaniała, naprawdę nie ma się do czego przyczepić. Mamy nadzieję, że wrócimy tam za rok.

Mystic to z kolei jakaś zupełnie odrealniona, piękna kraina i idealne zakończenie sezonu letniego. Chyba właśnie tam grało nam się najlepiej. Ten set jest zresztą dostępny na naszym SoundCloudzie, więc zapraszamy do odsłuchu.

Miałyśmy też niesamowite wsparcie lokalnej ekipy. Liczba znajomych twarzy na naszym secie i te dzikie tańce zostaną z nami na długo. Warto wspomnieć też o wakacyjnych setach w Nurcie, który kochamy, oraz o bardzo fajnym, kameralnym festiwalu Micronoce. Koniecznie sprawdźcie. Festiwale to zawsze cenna lekcja muzyczna i piękne wspomnienia wynikające z połączenia grania z zabawą.



fot. Kamila Żurek

W takim razie jaki jest przepis na idealny festiwal?

L: Trochę Niemców do zabawy, bo dają unikatowy luz, i Polaków po stronie organizacyjnej, bo wtedy wszystko jest dopięte na tip-top. (śmiech) Dorzuciłybyśmy jeszcze słońce albo chociaż brak deszczu. Pogoda nie raz pokazała, że potrafi zabić nawet najlepszą organizację, muzykę i nastroje.

K: A tak serio? Niech każdy zostawi strach w domu, otwórz głowę i przyjedzie z nastawieniem na nowe doświadczenia muzyczne i emocjonalne. Organizatorzy poskładają to w całość z odpowiednimi ludźmi od techniki, dekoracji i wizualiów, DJ-e dołożą dobrą muzykę i mamy festiwal idealny.

„Na napiwek trzeba sobie zapracować”

Jan Dopierała w opowieści o pasji, która trwa całe życie

Rozmawiała: Dominika Majewska

W czasach, gdy wizyta w restauracji coraz częściej sprowadza się do szybkiego posiłku w biegu, pan Jan Dopierała z Bistro Złota Kaczka przypomina, że prawdziwa gastronomia opiera się na relacji z drugim człowiekiem. Z imponującym 55-letnim stażem pracy, obejmującym zarówno eleganckie serwisy, jak i nocne dancingi, z niesłabnącą pasją dzieli się do dziś swoją wiedzą z kolejnymi pokoleniami. W naszej rozmowie zdradza, dlaczego napiwek nigdy nie powinien być obowiązkowy i z jakiego powodu wciąż nie potrafi na stałe rozstać się ze swoim ukochanym zawodem.

Zacznijmy od podstaw – jaka jest definicja słowa „kelner”?

Ogólnie jest to pracownik lokalu gastronomicznego, który zajmuje się bezpośrednią obsługą gości siedzących przy stolikach. Do głównych obowiązków kelnera należy przywitanie gości, podanie karty menu, doradzanie w wyborze potraw, napojów, win czy aperitifów. Profesjonalny kelner powinien znać zasady savoir-vivre’u czyli serwowania potraw i zbierania późniejszej naczyń z odpowiedniej strony, a do tego posiadać wysoką kulturę osobistą i odporność na stres. Jest to osoba, która powinna gością potraktować w bardzo przyjazny sposób. Z uśmiechem, ale delikatnym, żeby gość nie pomyślał, że ktoś się z niego wyśmiewa. Każdy gość jest inny i z każdym trzeba wiedzieć, jak powinno się rozmawiać. Oczywiście, kelner musi coś zaproponować, z delikatnym uśmiechem powiedzieć „polecamy to czy tamto”. I to jest wszystko. Zawsze tak robię i z doświadczenia wiem, że to wychodzi na dobre, bo goście przecież nie przychodzą do restauracji po to, żeby tylko usiąść przy stole, zjeść i wyjść. Gość przychodzi też dla obsługi, dla kelnerów.

Wspomniał Pan o doświadczeniu. Jak w ogóle wyglądała pańska droga zawodowa? Skąd taki wybór?

Wszystko zaczęło się od mojego wujka, który był wówczas kierownikiem restauracji i to on zachęcał mnie, żebym wstąpił w szeregi gastronomii. Mówił mi wprost: „Nie szukaj innej restauracji, nie szukaj innego zawodu, będziesz odbywał praktyki u mnie”. I tak to się zaczęło. Uczyłem się w szkole zawodowej o profilu kelnerskim i jednocześnie odbywałem praktyki. Do dzisiaj nie mogę od tego odstępować. Licząc trzyletnią szkołę, potem 47 lat pracy na pełnym etacie i teraz kontynuowanie tego hobbystycznie na emeryturze, mam w zawodzie 55 lat.

I przez te wszystkie lata nigdy nie pomyślał Pan o zmianie zawodu?

Ani mi to do głowy nie przyszło! Kochałem tę pracę od początku. Wujek dawno temu mi to zapowiedział: „będziesz pracował długo w gastronomii, bo ty to kochasz”. Przez 20 lat pracowałem w nocnych lokalach na dancingach. Praca trwała od



fot. Archiwum pana Jana

19 do 3 w nocy, a do domu wracałem o 5 rano, bo trzeba było posprzątać i przygotować salę dla następnej zmiany. Jedyne, co kiedyś zmieniłem na chwilę, to stanowisko – spróbowałem stanąć za barem, ale byłem barmanem tylko miesiąc czasu. Lubię rozmawiać, ale przy barze praca polegała na tym, że musiałem słuchać każdego po kolei. W nocnych lokalach ludzie wypijali o jednego drinka za dużo i zwierali się ze wszystkiego, jak na spowiedzi. Po miesiącu wiedziałem wszystko o wszystkich i byłem tym potwornie zmęczony. Stwierdziłem, że co za dużo, to niezdrowo. Kocham gastronomię, ale wolałem od razu wrócić do stolików. Przy stoliku kelner chwilę porozmawia z gościem, pożartuje, a potem przeprosza go i idzie obsługiwać następnych. Także o zmianie zawodu nigdy nie było mowy.

Wracając zatem na salę. Jak ocenia Pan dawne zasady kelnerskie w porównaniu z dzisiejszymi? Czegoś Panu brakuje z dawnych lat?

Kiedyś było zdecydowanie bardziej wymagająco. Zaczynałem w Adrii, wielkim kombinacie gastronomicznym na 800 osób, gdzie na zmianie pracowało około 100 kelnerów. Wtedy jedzenia nie układał na talerzu kucharz. Kuchnia wydawała dania na eleganckich półmiskach i platerach. Gość przy stoliku najpierw dostawał przed sobą pusty, ale mocno nagrzwany talerz. Całe danie kelner komponował dopiero przy stoliku, na oczach gościa.

„Wielu młodych wchodzi dziś do gastronomii, wierząc, że to lekka praca i od razu wielkie napiwki. A tak nie jest”

Mieliśmy na przykład chateaubriand – polędwicę wołową najwyższej jakości, podawaną dla dwóch osób na jednym platerze, z wykwintnymi warzywami: szparagami i kalafiolem romanesco oraz specjalnie przygotowanymi ziemniakami, które również wymienialiśmy z frytkami. Serwowaliśmy to zawsze z lewej strony, a na przedramieniu obowiązkiem była kelnerka (profesjonalna serweta – przyp. red), która nie była tylko do machania, ale stanowiła elegancki rekwizyt. Trzeba było podejść, delikatnie wysunąć lewą nogę do przodu, żeby nie kłaść się na bok ani nie opierać o stół, i dopiero wtedy nakładać z plateru. Zaczynało się zawsze od mięsa. Musiało leżeć z prawej strony, u góry, koniecznie przodem do gościa, bo nie wolno było po prostu rzucić go byle jak na talerz. Potem nakładało się skrobię, a z lewej strony warzywa. Czy dzisiaj ktoś jeszcze tak podaje danie gościowi? To była elegancja w pełnym wydaniu. Dzisiaj kelnerom brakuje tej wiedzy.

A czy przy dzisiejszym tempie pracy i rotacji stolików jest jeszcze miejsce na bliższą relację z gościem?

Jest i ludzie wciąż tego potrzebują. U nas, w Złotej Kaczce, jest tak, że z mojego doświadczenia mogę powiedzieć, że 55% gości przychodzi właśnie dla obsługi, a te 45% to jest przypadek. Gość przyjdzie dziś w pośpiechu na pyzy z sosem, ale zobaczy, jak tu przyjemnie i wróci. Za tydzień przyprowadzi ludzi na spotkanie rodzinne. Jeden przyprowadza następnych i tak robi się łańcuch, ale tylko jeśli dba o to każdy – od pani, która zmywa, po właściciela. Dziś niestety często się myśli, że restauracja to łatwy biznes, jak ma się pieniądze, ale bez wiedzy nie ma co zaczynać. Chcą oszczędzać. Zamiast trzech kelnerów zatrud-

nią jednego. Wyrzucą pieniądze, a potem wzywają Magdę Gessler. Ale ona nie uratuje lokalu bez wiedzy i serca właściciela. Dobra praca, dobra płaca – trzymam się tego przysłowia i gościom powtarzam w żartach: „Czy ja bym tu pracował, gdyby coś było nie tak?”.

Skoro mowa o uczciwej zapłacie, porozmawiajmy o napiwkach. Powinny być obowiązkowe?

Absolutnie nie, jestem temu przeciwny. Wielu młodych wchodzi dziś do gastronomii, wierząc, że to lekka praca i od razu wielkie napiwki. A tak nie jest. Na napiwek trzeba sobie zapracować. Zdarza się, że obsłużę gościa z pełną kulturą, a on nic nie zostawi. Kelner nie ma prawa się wtedy obrażać. Taki gość często wraca po jakimś czasie i od progu pyta: „Czy jest pan Jan? O, nasz pan jest!” – pamięta ciepłe przyjęcie i dopiero wtedy odwdzięcza się z nawiązką. Sam zresztą, idąc z żoną do restauracji, oceniam to samo. Przy dobrej obsłudze zostawię równowartość jednej czy dwóch kaw. Ale bywa i tak, że nie dam ani grosza. Bo jeśli karta jest podana szorstko, rzucona na stół, a obsługa odpowiada od niechcenia, to czym ta osoba zasłużyła? Właściciel zresztą też to widzi i długo takiego pracownika trzymać nie będzie, bo goście zaczną uciekać, a nikt nie prowadzi lokalu po to, żeby przynosił straty.

Dziś sam Pan egzaminuje młodych adeptów zawodu. Czy podchodzą do tego inaczej niż Pana pokolenie?

Zupełnie inaczej. Ja najpierw zdobyłem dyplom czeladniczy, potem zdałem egzamin na mistrza kelnerskiego i zrobiłem kursy na instruktora. To była dla mnie droga na całe życie. Dziś chętnych jest niewielu. Dla młodych gastronomia to często zajęcie dorywcze między studiami. I dlatego prawdziwych kelnerów, takich dla których to powołanie, a nie przystanek na chwilę, jest już coraz mniej.

A gdyby miał Pan przekonać do tego zawodu kogoś, kto dopiero zaczyna – dlaczego dziś warto wybrać kelnerstwo?

Bo to jeden z najstarszych zawodów na świecie, a takie zawody nie znikają, więc jestem spokojny o jego przyszłość. Ot-



wiera się dużo restauracji i hoteli, co daje możliwość szybkiego i stabilnego zatrudnienia. Do tego ten zawód świetnie uczy prawdziwego savoir-vivre'u, odporności na stres i umiejętności rozmowy z ludźmi niemal z całego świata. No i elastyczny czas pracy. Pracujemy różnie, dzisiaj tak, jutro inaczej, to nie jest sztywne jak w biurze od-do. Można to świetnie dopasować do swojego stylu życia. Jak ktoś chce, to czas znajdzie się i na pracę, i na rodzinę, i dla siebie. A w renomowanych restauracjach prawdziwi kelnerzy wciąż mogą liczyć na dobre napiwki, jako dodatek do wynagrodzenia.

Jest Pan już na emeryturze, a mimo to nadal aktywnie działa zawodowo. Dlaczego zamiast odpoczywać w domu, wciąż wraca Pan do restauracji?

Mam emeryturę, więc nie pracuję tu po to, żeby mieć na chleb. Ja to po prostu kocham. Wychodzę z domu i idę tam, gdzie jest moje miejsce. Młodym na szkoleniach zawsze powtarzam: gość nie przychodzi do restauracji tylko po to, żeby zjeść kotlet schabowy, bo ten kotlet zje na każdym rogu. Przychodzi dla was, dla obsługi, a wy musicie być dla niego tak gościnni, jak goście ludzi we własnym domu. Całe życie tak do tego podchodziłem i uważam, że do pracy nie przychodzi się po to, żeby się w niej męczyć. Więc dopóki mam siły i mnie tu chcą, na pewno nie zamierzam z tej pasji zrezygnować.



Przez rzekę do miasta

Mosty, które zmieniają Poznań

Tekst: **Tomasz Dworek**

Zdjęcia: **Sławek Wąchała**

Wiadomo, po co potrzebne są mosty – żeby nie stać w korkach i szybko przemieszczać się pomiędzy fyrtłami. Ale przeprawy mają także znaczenie miastotwórcze. Dobrym, choć trochę przewrotnym przykładem jest połączenie Śródką z Ostrowem Tumskim, które pomogło zmienić charakter tej części miasta – z nieco zapomnianej dzielnicy w turystyczną atrakcję.

Po poznańsku – nowy most nie został zbudowany całkiem od zera. Do przeprawy wykorzystano stalowe przęsło dawnego mostu św. Rocha. Wążącą około 400–450 ton konstrukcję transportowano po specjalnie przygotowanych torach, a w najbardziej spektakularnym momencie trzeba było przenieść ją nad mostem Mieszka I. Była to jedna z najbardziej efektownych operacji inżynierskich współczesnego Poznania, uważnie śledzona przez mieszkańców.

Ostrożnie należy jednak podchodzić do samego pojęcia re-witalizacji. Nowa-stara przeprawa, czyli most Cybiński istniał w tym miejscu już w średniowieczu – rzeczywiście przyczyniła się do wzrostu zainteresowania Śródką. Pojawiła się Brama Poznania, nowe kawiarnie i restauracje, oryginalny mural, a Trakt Królewsko-Cesarski został przedłużony. Cały proces można jednak czytać także jako przykład gentryfikacji. Wraz ze wzrostem atrakcyjności miejsca zmieniły się jego funkcje, wzrosły ceny, a pojawili się użytkownicy o innych potrzebach i możliwościach finansowych. Są turyści i apartamenty. A gdzie są dawni mieszkańcy?

Na nowe mosty Poznań czeka długo. Pierwszą nową przeprawą zbudowaną w wolnej Polsce był właściwie most autostradowy, oddany do użytku w 2003 roku. Most Jordana powstał w 2007 roku w miejscu historycznej przeprawy, a w 1999 roku dobudowano południową nitkę mostu Lecha. Dopiero po po-

nad dwóch dekadach doczekaliśmy się całkowicie nowych przepraw – i to od razu dwóch. Mosty Berdychowskie, przeznaczone dla ruchu pieszego i rowerowego, połączyły Chwaliszewo z Berdychowem.

Krytycy zwracają uwagę, że to nie mosty, tylko kładki. Ważniejsze jest jednak coś innego: mają duży potencjał miastotwórczy. Zapewniają szybkie rowerowe połączenie centrum z terenami nad Maltą, ale mogą być też impulsem dla przyszłych inwestycji nad Wartą. Projektanci wskazali możliwość przedłużenia miejskiego traktu w stronę Grobli, przez zamknięty dziś teren Starej Gazowni.

Warto przypomnieć, że pierwotnie planowano wykorzystać na Berdychowie zabytkowe przęsła rozebranego mostu kolejowego na Starołęce. Pomysł spotkał się jednak z krytyką architektów i urbanistów, którzy wskazywali na zbyt dużą skalę konstrukcji i jej wpływ na panoramę Ostrowa Tumskiego. Ostatecznie rozpisano konkurs. A co z kratownicami ze starołęckiego mostu? Czekają w kolejowych magazynach. Być może na nową przeprawę?

Bo nowych mostów potrzebujemy nie tylko w centrum. Kierowcy wskazują okolice Winograd i północ Poznania. Piesi i rowerzyści od lat mówią o połączeniu Wildy z Ratajami, mniej więcej pomiędzy mostami Królowej Jadwigi i Przemysła. Kilka lat temu powstały nawet konkursowe koncepcje takiej kładki. Miała nie tylko ułatwić poruszanie się po mieście, ale także zachęcić do rekreacji nad Wartą i domknąć system dróg rowerowych.

Kolejne planowane pieszo-rowerowe połączenia wiążą się z zagospodarowaniem Ostrowa Tumskiego i terenów dawnej Elektrociepłowni Garbary. Przy nowych, przeskalowanych deweloperskich inwestycjach warto jednak od razu pytać o ich skomunikowanie. Nowa zabudowa bez dobrego transportu publicznego i alternatywnych dróg dojścia szybko staje się kolejną wyspą. Bez pretekstów do odwiedzin.

Inwestor Elektrowni na małej wyspie Ostrowa zapowiedział kładkę posadowioną na filarach Wielkiej Śluzy, w kierunku Cyta-deli. Rozsądek podpowiada jednak, że powinna być usytuowana bliżej tego, co miasto nazywa dziś dworcem PKM – Poznańskiej



fot. Sławek Wąchała

Kolei Metropolitalnej, czyli stacji Poznań Garbary. To właśnie tam znajduje się ważny punkt komunikacyjny, który w przyszłości ma łączyć kolej z planowanym tramwajem z Naramowic.

Zresztą przeprawa dla pieszych istniała w tym miejscu jeszcze kilka lat temu. Została jednak zlikwidowana przez Polskie Linie Kolejowe. Jej położenie przypominają dziś puste mostowe filary.

Poznańscy urzędnicy zwracają uwagę, że Unia Europejska kładzie dziś większy nacisk na kolej i transport publiczny. Tym bardziej warto myśleć o inwestycjach, które łączą różne funkcje.

Jak wskazują Koleje Wielkopolskie, rozwój komunikacji metropolitalnej wymaga zwiększenia przepustowości infrastruktury, budowy dodatkowych torów i rozdzielania ruchu metropolitalnego od krajowego i międzynarodowego.

Żeby rzeczywiście utrzymać standard dobrej komunikacji z podpoznańskimi „landami”, konieczne jest zachowanie w godzinach szczytu półgodzinnego taktu pociągów, przede wszystkim na najbardziej obleganych kierunkach: Września-Konin, Gniezno-Bydgoszcz oraz Wągrowiec-Gołańcz. Bez budowy trzeciego i czwartego toru będzie to trudne. Miejsce na takie inwestycje



cje jest zaplanowane – nie tylko pod infrastrukturę kolejową, ale również drogową, w tym dokończenie I ramy komunikacyjnej.

Budowa kolejnych przepraw mogłaby też ograniczyć tranzyt przez most Chrobrego, będący częścią historycznego Traktu Królewsko-Cesarskiego. Spacer wzdłuż trasy o dużym natężeniu ruchu trudno uznać za turystyczną atrakcję. Czasem droga zamiast łączyć, staje się barierą.

Warto spojrzeć na Czerwonak. Zbudowano tam dwie kładki pieszo-rowerowe, ta w Owińskach i w samym Czerwonaku. Pierwsza kosztowała około 27 mln zł, druga około 14 mln zł. To niewiele w porównaniu z Mostami Berdychowskimi, których koszt wyniósł około 150 mln zł.

Wiele możemy się od Czerwonaka nauczyć także w kontekście samej rzeki. Gmina ma marinę i plany jej rozbudowy.

Tymczasem miasto Poznań w tym roku i w kolejnych latach nie zaplanowało żadnych większych inwestycji nad Wartą – nawet wystawienia pomostów do cumowania łódek.

Ojcem najważniejszych poznańskich mostów był Lucjan Ballenstedt. Projektował między innymi przedwojenny most Chrobrego, most św. Rocha, którego przęsła wykorzystano później przy budowie mostu Jordana, oraz most Królowej Jadwigi. Jego nazwisko nosi dziś także most autostradowy. Autorem projektu nowego mostu Chrobrego jest z kolei spółka specjalizująca się w konstrukcjach autostradowych.

Jak bardzo potrzebne są przeprawy, pokazuje remont mostu Chrobrego. Budujemy więc kolejne mosty przez Wartę i Cybinę. Ładne mosty!



fot. Archiwum Pawilonu

Reagujemy na rzeczywistość

O sztuce zaangażowanej w poznańskim Pawilonie

Tekst: **Julia Lipowicz**

Poznański Pawilon od 2018 roku konsekwentnie umacnia swoją pozycję jako przestrzeń dla sztuk performatywnych, muzyki oraz hybrydowych form artystycznych z pogranicza teatru, tańca i sztuk wizualnych. Twórcy instytucji określają ją jako platformę wymiany myśli, rozwijania idei i integrowania miejscich środowisk. Działalność Pawilonu opiera się na uważnej obserwacji oraz żywej reakcji na współczesne zjawiska społeczne, polityczne i ekonomiczne.

– Istotnym punktem wyjścia dla naszych działań jest sama specyfika przestrzeni, którą dysponujemy. Mamy black cube, który w naturalny sposób definiuje charakter realizowanych wydarzeń – to format dający olbrzymie możliwości kreacji, ale też nakładający pewne ograniczenia realizacyjne. Drugą kluczową kwestią jest sezonowość budynku, związana z jego systemem ogrzewania. Sprawia ona, że nasz harmonogram w naturalny sposób dzieli się na blok wiosenny i jesienny, podczas gdy w miesiącach zimowych zawieszamy działalność – wyjaśnia Andrzej Pakuła, kurator i kierownik Pawilonu ds. programowych.

Od początku istnienia instytucji jej celem było wypełnienie luki na poznańskiej mapie kulturalnej w obszarze performansu i sztuki eksperymentalnej, często opartej na improwizacji i wychodzącej poza tradycyjne definicje. Ważnym elementem struktury programowej są coroczne zmiany haseł przewodnich. W tym roku jest to idiom *Hajs, hajs, hajs* pod kuratelą Ani Nowak. Wydarzenia związane z tym hasłem odbędą się również w tym sezonie w grudniu. Wybierając artystów, Pawilon dba również o to, by zapewnić im komfortowy proces badawczy jeszcze przed rozpoczęciem właściwych prac na scenie.

Premiera sezonu: *Stara Baśń*

Najważniejszym punktem jesiennego afisza Pawilonu jest druga produkcja własna instytucji – spektakl *Stara Baśń* w reżyserii Magdy Szpecht, którego premierę zaplanowano na 13 i 14 listopada. Pawilon działa bowiem nie tylko jako przestrzeń gościnna, ale w pełni funkcjonalny dom produkcyjny, zapewniający kompleksową opiekę nad projektem: od badań, przez przygotowanie premiery, po promocję, dystrybucję i eksploatację na festiwalach (jak w przypadku ubiegłorocznego spektaklu *Worst Case Scenario* Aleksandry Jakubczak).

Magda Szpecht – reżyserka i cyberaktywistka zaangażowana w walkę z dezinformacją (m.in. spektakle *Cyber Elf* i *Spy Girls*) – w *Starej Baśni* przygląda się historii internetu, zderzając romantyczne wizje wolnej sieci z dzisiejszą rzeczywistością zdominowaną przez gigantyczne platformy i sztuczną inteligencję. Autorką tekstu do spektaklu jest Olga Drygas.

– *Stara Baśń* nie będzie historią w klasycznym rozumieniu tego słowa. To instalacja performatywna, która zaprasza do przyglądania się działaniom performerów z różnych punktów w przestrzeni – tłumaczy reżyserka. Dodając: – Kontekst przeszłości jest równie ważny, co obecne uwikłania polityczne, w jakich funkcjonujemy, korzystając z technologii. Nie da się dzisiaj o niej mówić bez uwzględnienia Sztucznej Inteligencji i jej twórców, mam na myśli biznesmenów z Doliny Krzemowej.

Szpecht wraca pamięcią do wczesnych lat 2000., dorastania w Jeleniej Górze i pierwszych zachwytów niekontrolowaną jeszcze siecią, kiedy z koleżankami po szkole czatowała i dzwoniła na Skype do przypadkowych ludzi z całego świata, np. z Tokio. – W ten sposób internet pozwalał nam chociaż częściowo zaspokajać potrzebę ryzyka i ciekawości, która jest motorem rozwoju i naturalnym elementem dorastania. Kiedy dzisiaj myślę o tym, co motywuje mnie do tworzenia sztuki, to nadal chodzi o te dwie rzeczy, chociaż do ryzyka i ciekawości dołożyłabym jeszcze potrzebę buntu wobec rzeczywistości, która staje się coraz bardziej niehumanitarna, niebezpieczna i wroga – mówi reżyserka.

Artystka zwraca też uwagę na rosnącą izolację młodych ludzi, mechanizmy uzależniające wpisane w media społeczności-



Pierwsza produkcja Pawilonu, premiera *Worst Case Scenario* reż. Aleksandry Jakubczak, czerwiec 2025, Poznań.

we oraz samotność nastolatków mierzących się z cyberprzemocą i kryzysami gwałtownie zderzającymi ich z dorosłością. Odpowiedzią na te wyzwania ma być właśnie teatr. – Nie chcę odzwiercać cyfrowego świata na scenie jeden do jednego. Bardziej interesuje mnie stworzenie analogowej rzeczywistości, która pozwala nam spojrzeć na tę cyfrową z dystansu. Teatr jest jedną z tych przestrzeni, w których spotykamy się fizycznie i dzielimy ten sam czas i miejsce. Widzowie w trakcie trwania spektaklu są obok siebie i zazwyczaj nie korzystają z telefonów. Ta wspólnota fizycznej obecności jest najważniejszym meta-doświadczeniem, jakie teatr może nam dzisiaj zaoferować – mówi artystka.

Również doświadczenia aktywistyczne reżyserki bezpośrednio przekładają się na wydźwięk spektaklu: – To, czego nauczyłam się w świecie śledztw Open Source, jest w gruncie rzeczy bardzo bliskie ideom z początków ery internetu – myśleniu o sieci jako przestrzeni do bycia razem. Chciałabym, żeby *Stara Baśń* miała wydźwięk aktywizujący do współdziałania, do myślenia o polityczności internetu w kontekście naszych indywidualnych doświadczeń.

Taniec, hałas i brzmienia eksperymentalne

Jesienny program Pawilonu to także szeroka reprezentacja gościnnych spektakli performatywnych, tanecznych oraz wydarzeń muzycznych. 9 października w Pawilonie odbędzie się poznańska premiera spektaklu *80 decybeli* w wykonaniu Instytutu Prawa Performatywnego, realizowanego w ramach Polskiej Sieci Sztuk Performatywnych. Przedstawienie podejmuje temat szumu miejskiego, akustycznego przebudźcowania oraz szkodliwości codziennego hałasu, na który rzadko zwracamy uwagę.

Kolejną propozycją teatralno-taneczną będą pokazy spektaklu *Kocham balet* w reżyserii i choreografii Ramony Nagabczyńskiej – wybitnej artystki i tegorocznej laureatki Nagrody Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Spektakl, zaplanowany na 16 i 17 października, to oparta na osobistych doświadczeniach tancerek, kolektywna opowieść o przemocowości i opresyjności tradycyjnego systemu kształcenia baletowego. Muzykę do przedstawienia stworzył Daniel Szwed. Po pierwszym pokazie tradycyjnie organizowana jest rozmowa z twórcami, dając przestrzeń na dialog z publicznością.

Stałym filarem działalności instytucji pozostaje muzyka eksperymentalna i awangardowa. Pawilon kontynuuje autor-ski cykl LAS Krystiana Piotra, obejmujący regularne koncerty nastawione na muzykę improwizowaną i poszukującą, który w grudniu zwieńczy kilkudniowy mikrofestiwal urodzinowy. W ramach cyklu usłyszymy tej jesieni m.in. NKISI (UK) i Eo-mac (IR). Ponadto w programie znajdzie się wydarzenie *Aura* pod kuratelą Łukasza Tomaszewskiego (DJ Elvira), poświęcone współczesnej białoruskiej scenie elektroniki.

Ofertę Pawilonu uzupełniają bezpłatne spotkania filmowe z cyklu *Stany Skupienia*, prowadzone przez Andrzeja Marca. W ich ramach prezentowane są rzadkie, trudno dostępne filmy i prace wideo, krótkie metraże wybrane przez zaproszonych artystów, stanowiące punkt wyjścia do dyskusji o inspiracjach i kulisach procesu twórczego.

Pełen program Pawilonu na sezon jesienny dostępny jest na stronie: pawilon.org/kalendarz



Jak Poznań trafił do komputerowej gry?

Wywiad z Piotrem Woźniakiem, twórcą gry BLOK

Rozmawiała: Natalia Bednarz

Błokowiska, betonowa architektura, bunkry i atmosfera niepokoju. BLOK zachwyca połączeniem psychologicznego horroru i nostalgii za polskimi osiedlami lat 90. Gra czerpie z przestrzeni znanych twórcy z własnego doświadczenia, w tym z ratajskich osiedli. Skąd wziął się pomysł na BLOK i jak Poznań wpłynął na jego świat? O powstawaniu gry rozmawiamy z jej twórcą, Piotrem Woźniakiem.



O czym jest BLOK?

BLOK to psychologiczny horror osadzony w Polsce po upadku komunizmu, inspirowany „1984” Orwella. Bohater wraca do rodzinnego mieszkania, gdzie znajome miejsca zaczynają odsłaniać ślady wydarzeń, o których powinien już dawno zapomnieć. Historia jest opowiadana poprzez eksplorację, zagadki, symbole i surrealistyczne sekwencje. Ważnym elementem gry jest również immersja, którą zwiększa mechanizm fizyki inspirowany rozwiązaniami znanymi z takich tytułów jak Amnesia, Penumbra czy SOMA.

Czy BLOK to Twoja pierwsza gra?

Tak. BLOK to moja pierwsza gra, a prace nad nią rozpocząłem w styczniu 2025 roku. Pomysł narodził się podczas eksperymentów z technologią BCI (Brain Computer Interface). Chciałem stworzyć grę sterowaną za pomocą aktywności mózgu.



Duży szum w sieci wywołał fragment scenerii gry, który wygląda jak rynek na poznańskim osiedlu Orła Białego. Skąd się tam wziął?

Poznań jest w grze obecny przede wszystkim na poziomie wizualnym. Wykorzystałem kilka charakterystycznych elementów architektury i przestrzeni Osiedla Orła Białego, które znam z własnego doświadczenia. Nie chciałem jednak robić z tego dokumentu konkretnego miejsca ani odwzorowywać osiedla jeden do jednego. Bardziej zależało mi na uchwyceniu pewnego znajomego poczucia przestrzeni — blokowiska, klatek schodowych, podwórek, betonowej architektury i charakterystycznej atmosfery takich miejsc. W BLOKU rzeczywistość jest celowo przekształcona i z czasem coraz bardziej zaczyna przypominać coś, co istnieje pomiędzy wspomnieniem a koszmarem.





Czy oprócz wizualnych nawiązań możemy spodziewać się lokalnych smaczków, np. gwary poznańskiej?

Nie. Akcja BLOKU nie toczy się w Poznaniu ani nie jest próbą odtworzenia konkretnego poznańskiego osiedla z lat 90. Dlatego nie planuję stylizowania dialogów na gwarę poznańską. Warstwa językowa gry jest związana przede wszystkim z historią i atmosferą opowieści, która ma znacznie mocniejsze korzenie w czasach komunizmu niż w lokalnym kolorzycie Poznania lat 90.

W BLOKU pojawiają się bunkry i forty. To również inspiracja lokalnymi historiami?

Nie bezpośrednio. W BLOKU rzeczywiście pojawia się etap związany z bunkrami i fortami, ale nie jest on oparty na konkretnych, lokalnych legendach ani miejskich mitach dotyczących podziemi. Sam pomysł na podziemne przestrzenie wynika przede wszystkim z historii gry i jej tematów. Interesowało



mnie wykorzystanie zamkniętych, klaustrofobicznych miejsc jako metafory pamięci, strachu i represji.

BLOK jest projektem tworzonym samodzielnie. Ile czasu zajmuje Ci praca nad grą?

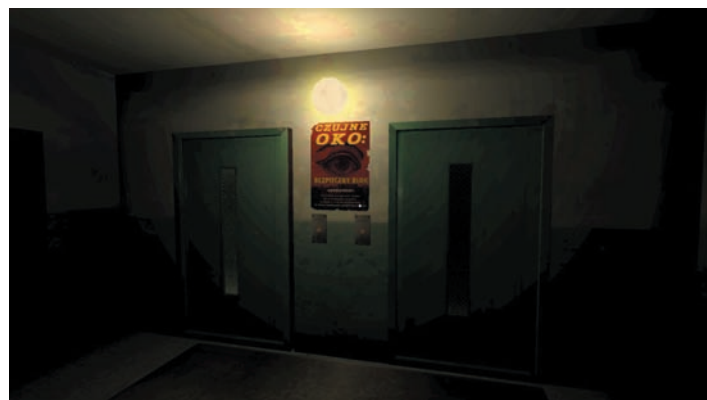
BLOK tworzę na pełen etat, więc jest to moja główna praca. Nie trzymam się jednak sztywnego harmonogramu typu „dokładnie osiem godzin dziennie”. W zależności od tego, nad czym aktualnie pracuję, dzień może wyglądać zupełnie inaczej.

Czy jeśli BLOK odniesie sukces, można spodziewać się kolejnych części?

Nie mam takiego planu. BLOK od początku był projektowany jako zamknięta historia i nie chciałbym rozszerzać jej tylko po to, żeby przenosić ją do kolejnych dzielnic czy miast. Jeżeli kiedyś powstanie kolejna gra w tym uniwersum, jej miejsce akcji będzie wynikało przede wszystkim z historii, którą będę chciał opowiedzieć.

Kiedy planowana jest premiera?

Premiera BLOKU jest planowana na październik 2027 roku.



Steam: <https://store.steampowered.com/app/3813870/BLOK/>

GOG: <https://www.gog.com/pl/game/blok>

Instagram: https://www.instagram.com/pyotr_vozniak/

TikTok: <https://www.tiktok.com/@pyotr.vozniak>

Pełny wywiad dostępny jest na www.freshmag.pl



fot. Archiwum Blue Note

Jazz, elektronika, eklektyzm

Jesień w poznańskim Blue Note

Rozmawiała: Julia Lipowicz

Klub Blue Note to jeden z najważniejszych punktów na muzycznej mapie Poznania. Choć od lat kojarzy się z klasycznym jazzem, jego współczesne oblicze wymyka się sztywnym ramom gatunkowym. O ewolucji publiczności, zróżnicowanym programie na sezon jesienno-zimowy oraz łamaniu stereotypów związanych z muzyką improwizowaną porozmawiałam z Michałem Francuzikiem, odpowiedzialnym za PR i marketing klubu.

Blue Note od lat ewoluje, otwierając się na nowe brzmienia. Jaka jest dzisiaj muzyczna tożsamość klubu?

Pamiętam Blue Note jeszcze ze wcześniejszych lat. Wtedy kojarzył się głównie z tradycyjnym jazzem – klasycznymi kwintetami i utartymi formami. Dziś jazz niezwykle mocno rezonuje z innymi gatunkami: R&B, soulem, funkiem czy elektroniką. Staramy się, aby nasz program odzwierciedlał ten eklektyzm.

Z jednej strony kontynuujemy uznane cykle, takie jak *Jazz Around* gdzie prezentujemy projekty z pogranicza elektroniki i pulsującej muzyki rytmicznej, jak brytyjski kolektyw Nubian Twist czy grupa Everything Yes. Z drugiej – nie uciekamy od korzeni. Gościmy ikony światowego formatu, chociażby legendarnego saksofonistę Kenny’ego Garretta. Chcemy pokazywać, że jazz to nie tylko hermetyczna sztuka dla melomanów, ale otwarta, żywa przestrzeń do budowania emocji.

Co szczególnie warto wyróżnić w jesiennym kalendarzu wydarzeń?

Czeka nas niezwykle różnorodny sezon. W ramach cyklu *Jazz Top* wystąpi ceniony perkusista Mark Guiliana (30.09) – znany ze współpracy m.in. z Davidem Bowiem czy Gretchen Parlato, przyjeżdża ze swoim elektronicznym projektem BEAT



fot. Archiwum Blue Note



fot. Archiwum Blue Note

MUSIC, który jest pełen syntezy brzmień w filmowym klimacie i nawiązuje do estetyki rodem z gier wideo. W tym samym cyklu zagra także brytyjski, pełen energii afrobeatowo-jazzowy kolektyw Nubian Twist (11.12), który można było usłyszeć w lipcu na Blue Summer Jazz Festival, oraz grupa Everything Yes (17.10), prowadzona przez popularnego na mediach społecznościowych perkusistę Zacha Grovesa.

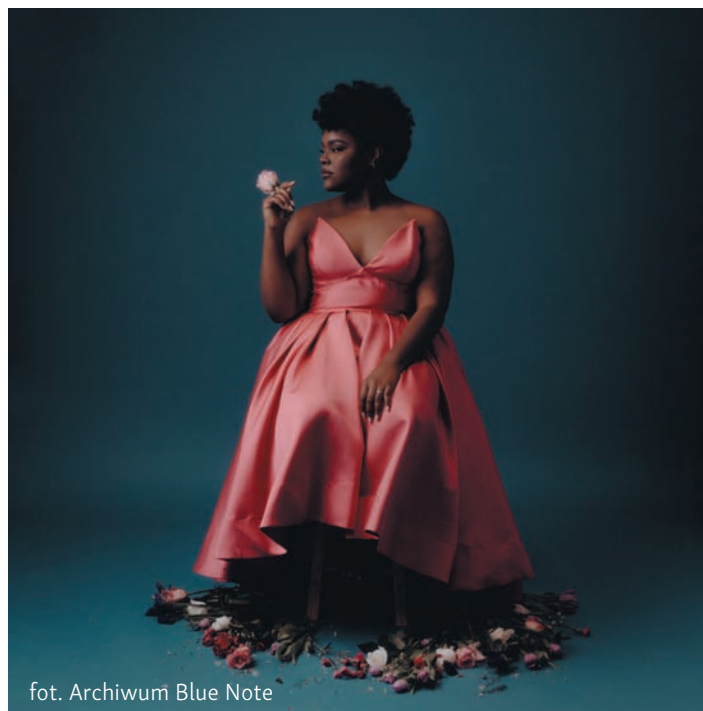
Ciekawie zapowiada się też pasmo *Nowi Mistrzowie*, w którym pokażemy m.in. zespół J.Trónix (06.11) – zwycięzców zeszłorocznego *Blue Note Poznań Competition*. Wśród polskich akcentów warto wymienić Aleksandra Dębicza z jego solowym, konceptualnym materiałem *12 Dreams for Piano* poświęconym analizie snu (22.11), jak i nastrojową Warszawską Orkiestrę Sentymentalną (13.11). Dopełnieniem oferty są występy artystów z kręgu R&B i soulu, jak brytyjski wokalista Myles Sanko (06.12), a także koncerty będące ukłonem w stronę wielkiej tradycji jazzu – odwiedzi nas legenda saksofonu Kenny Garrett z projektem *Sounds from the Ancestors* (podwójny koncert 13.10), znakomity wokalista Sachal Vasandani (28.10), a na styczeń zapowiadamy m.in. projekt Jazz Sabbath Adama Wakemana (10.01). Z polskich wykonawców z pewnością warto wymienić solowy koncert Wojtka Mazolewskiego (10.10) czy koncert grupy Sedno (14.11).

Od pewnego czasu zauważalny jest wzrost zainteresowania klubem wśród młodszych słuchaczy. Kim jest dzisiejsza publiczność Blue Note?

Widzimy bardzo wyraźny, świeży trend na jazz wśród młodego pokolenia. Dziś nowi odbiorcy przychodzą do klubu nie tylko po klasyczne doznania koncertowe, ale także po unikatowy klimat i przestrzeń do spędzania czasu. Próbujemy zrozumieć ich potrzeby i dawać im to, czego poszukują, jednocześnie dbając o jakość oprawy wizualnej i nagłośnienia.

Chcemy zachować równowagę: zaoferować kameralny wieczór przy lampce wina tym, którzy cenią tradycyjny klimat, a zarazem stworzyć otwartą, energetyczną przestrzeń dla tych, którzy chcą po prostu poczuć rytm. Blue Note ma być miejscem inspiracji – jak wizyta w galerii sztuki współczesnej, z której wychodzi się z nową energią.

Aktualny kalendarz wydarzeń i bilety dostępne są na stronie: bluenote.pl/kalendarz



fot. Archiwum Blue Note

Drzewiecki

Kluczyńska



Setna rocznica urodzin Conrada Drzewieckiego

CONRAD


TEATR WIELKI
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI
W POZNANIU

ORGANIZATORZY TEATRU

 **WIELKOPOLSKA**

 **MINISTERSTWO KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO**

 **Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego**

MIECENAS TEATRU

 **Enea**

Premiera 14 X 2026, g. 19:00
Spektakle 15, 16 X 2026



• Jacek Malczewski • Józef Mehoffer •
• Stanisław Wyspiański • Jan Matejko •
• i inni •

WYSTAWA
**Poza
Twarzą**
PRACE Z KOLEKCJI TPSP W KRAKOWIE

10.09
2026
•
10.02
2027

PATRON HONOROWY:



ORGANIZATORZY:



Tworzonego Projektu
Studia Piekarni w Krakowie
Poznań, 2026

OCR Art
Foundation

PARTNERZY:

OCR
Creations



PATRONI MEDIALNI:



MIEJSCE:

**STARY
BROWAR**

POP CULTURE GALLERY